



**N<sup>o</sup> 29.**

Prenumerata w Warszawie  
rocznie rs. 8, półrocznie rs. 4, kwartalnie rs. 2,  
miesięcznie kop. 67 i pół.

Warszawa, 15 lipca 1876 r.

Prenumerata  
na prowincyi i w cesarstwie  
kwartalnie rs. 3.

**Tom II.**

**Treść numeru.** Pomnik ś. p. Antoniego Madalińskiego (z drzeworytem). — Kronika tygodniowa. — Przegląd teatralny. — Przegląd polityczny. — Ulica w Wenecyi (drzeworyt). — Lisy z wystawy filadelfijskiej (z 2 drzeworytami). — Przesady, komedia w pięciu aktach (dalszy ciąg). — Franciszek Palacki (z drzeworytem). — Korespondencya z Krakowa. — Przegląd piśmienniczy. — Na rozdrożu, powieść (dalszy ciąg). — Wiliam Herschel (dokończenie). — Ludwika królowa pruska (dalszy ciąg). — Pamiętnik młodej mężatki, powieść pani Craven (dalszy ciąg).

P O M N I K

**Ś. P. ANTONIEGO MADALIŃSKIEGO.**

Przed kilku tygodniami w kościele parafialnym w Przybyszewie pod Grójcem wmurowany został pomnik b. generała b. wojsk polskich Antoniego Madalińskiego, wykonany z marmuru kararyjskiego przez utalentowanego rzeźbiarza, p. Bolesława Syrewicza.

Główną ozdobę pomnika stanowi wizerunek medalionowy zasłużonego generała w płaskorzeźbie, którego podobieństwo artysta żywo uwydatnił według portretów rodzinnych. Ramy medalionu podtrzymują godła wojskowe; dolną zaś część pomnika z napisem otaczają odpowiednie ornamenta, zlewające się z całością w kształt harmonijny i wdzięczny. Wysokość pomnika wynosi stóp 7.

Przedstawiając czytelnikom naszym przerys tego pięknego, choć w skromnych rozmiarach, dzieła sztuki, podajemy im zarazem kilka luźnych szczegółów biograficznych z życia ś. p. generała.

Antoni Madaliński, syn Józefa i Barbary z Gutowskich, urodził się w r. 1739. Wstąpiwszy do służby wojskowej, otrzymał w r. 1776 stopień porucznika kawalerii narodowej; w r. 1780 został pułkownikiem, a następnie wice-brygadierem. Nie poprzestając jednak na wyłącznym poświęcaniu się obranemu zawodowi, Madaliński, pomny na tę prawdę, że żołnierz nie przestaje być obywatelem swojego kraju, przyjął mandat posła z b. województwa poznańskiego, na sejm pod laską Stanisława Małachowskiego. W r. 1792 król Stanisław August zaszczylił go godnością brygadiera, którą do r. 1794 piastował.

Stojąc z brygadą swoją w okolicach Pułtuska, gdy otrzymał z Warszawy wiadomość, że zamierzono zmniejszyć do połowy siły armii, Madaliński postanowił uprzeczyć wykonanie tego



Pomnik b. generała b. wojsk polskich Antoniego Madalińskiego, w Przybyszewie pod Grójcem, wykonany z marmuru przez Bolesława Syrewicza.

zamiaru i przeszedłszy Wisłę na czele 700 jazdy, rozpoczął na własną rękę działania wojenne, znosząc wszędzie oddziały wojsk pruskich. W marszu tym złożył dowody niepospolitej zdolności, bo przedzierając się przez siły przeważne, ciągle ścigany, dostał się szczęśliwie w okolice Krakowa, gdzie połączywszy się z Kościuszką, chlubny wziął udział w bitwie pod Racławicami, za którą naczelnik mianował go generałem-lejtnantem.

Podczas oblężenia Warszawy Madaliński z bezprzykładną gorliwością pełnił włożone na siebie obowiązki; po oswojeniu zaś stolicy, Kościuszko, czyniąc zadość żądaniom Wielkopolan, wysłał im w pomoc do 3,000 ludzi, pod dowództwem generałów Dąbrowskiego i Madalińskiego. Za pierwszym przemawiała znakomita biegłość w sztuce wojennej, za drugim wyższy stopień. Ale Madaliński, tam gdzie szło o dobro ogólne, nie powodował się nigdy względami osobistymi. Wobec całego wojska pod Kamienną podał rękę koleździe i zawołał z uniesieniem: „Dla miłości kraju, choć starszy, idę pod twoją komendę, generale!“ Odtąd też, pod rozkazami Dąbrowskiego, nierozdzielnie był trudów jego towarzyszem. Po rozejściu się resztek wojsk pod Rodoszycami, Madaliński, syt sławy i spokojny w swym sumieniu, udał się do księstwa poznańskiego, gdzie zrazu uwięziony, po kilku miesiącach otrzymał wolność od króla pruskiego, który wiedział dobrze o szlachetnym zawsze i honorowym postępowaniu generała.

Od tej chwili Madaliński żył spokojnie w majątności swój Borowem aż do roku 1804, w którym powszechnie żalowany, rozstał się z tym światem, mając lat 65. Zwłoki jego pochowano w Przybyszewie, serce zaś złożono w Lubaniu.

## Kronika tygodniowa.

Utrapienia codziennego życia, te powszednie troski, które tak bardzo, choć tak z pozoru łagodnie, dokuczają ludziom, dostarczają zarazem wataka do smutnych pogadankach, skargach, żalach i utyskiwaniach ważną rolę frazes: lepiej było — a w sprawie o której mówić zamierzamy, frazes ten istotnie ma najzupełniejszą słuszność.

Zastanówcie się bowiem nad kwestyą... komornego. Przedmiot to wprawdzie fatalnie oklepiany, wyczerpany, równie jak wyczerpujący kieszonki — ale chcemy go wam przedstawić z trochę odmienną stroną, niż dawniej. Że płacimy komorne bajecznie wielkie, o tym wiecie wybornie i tego wam mówić nie trzeba. Że ono was ruinuje... i to nie nowina — ale że przyjdzie chwila, w której kto wie czy komorne nie spadnie w cenę (ja tam w to jakoś uwierzyć nie mogę), o tym słyhać już potrosze. Tymczasem rozejrzyjcie się po nowych domach, których w roku bieżącym przybyło już kilkanaście, i powiedzcie, czy nadzieje co do obniżki komornego są słuszne, czy też nie?

Oto nowiuteńka kamienica, wspaniała, wielka, postawiona fundamentalnie — istny pałac. Co za lokale!.. Wszędzie zlewy, wodociągi, gaz, sztukaterie... Macie tu lokal, złożony z siedmiu pokoi. Jest to mieszkanie piękne, ani słowa, ale właściciel nie chce go wynająć, jak za 2,500 rs. rocznie!..

Pójdźcie do innego domu. I to piękna budowla, postawiona na urząd... Po czemuż tu idą lokale?.. Oto w czambuł po 300 rs. rocznie od pokoju.

W trzecim domu jest mieszkań sześć — ale najmniejsze z nich obejmuje sześć pokoi i kosztuje do 1500 rs.

W czwartym... piątym — to samo. Wszystko to na wielką skalę. Tysiączki rubli wylatują z ust stróżów, rządzców i właścicieli, jak z procy kamyki. Wszystko to domy i lokale dla bogaczy... Przybywa ich coraz więcej, wyrastają jak grzyby po deszczu; ale panowie właściciele nie chcą mieć do czynienia z hołotą, którą stać tylko na kilka lub paręset rubli i... sami na siebie bieże kręca.

Kto — bo też właściwie może zapłacić 2,500 rs. za lokal?.. Oto taki, co ma dochodu rocznego 10,000 rs., czyli majątku 200,000. Jeżeli tedy istotnie posiada tak piękny mająteczek, to zapewne mógłby posiadać i własny domek, chociaż o jednym, jedynym dla siebie lokalu, na czym oszczędziłby niezawodnie z jakie 1500 rs. Byłby istotnie bardzo naiwnym, gdyby tracił tak dużo, mieszkając w cudzym domu.

Takie samo obliczenie posłużyć może za wskazówkę i co do tych lokali, w których pokój wypada po rs. 300 rocznie. Wyobraźcie sobie kogoś, co ma około 4,000 rs. rocznego dochodu i zajmuje zaledwie trzy pokoje. Powiecie że jest skąpcem... tymczasem błędzi on tylko w tym, że płaci po rs. 300 za pokój w świetnym domu, kiedy mógłby płacić po 150 w mniej świetnym i mieć pokoi 6, zamiast trzech.

Oto jeden i drugi rachunek dowodzi, że prawdopodobnie owe świetne domy, których przybywa corok po kilkanaście, stać sobie będą pustkami, że jednak kapitały na nie wyłożone odwrócono od pewniejszego interesu budowania domów mniej świetnych, a bardziej praktycznych, i że w skutek tego mniejszych a więcej poszukiwanych lokalów przybyło stosunkowo bardzo mało — przeto pogorszy to jeszcze stan komornego i, co najwięcej, wywoła upadek kilkunastu właścicieli *świetnych*, a na upamiętanie się *nieświetnych* nie wpłynie wcale.

Nie lądźcie się więc, o czytelnicy, płonnemi nadziejami, patrząc na owe kolosalne budowy gmachów, których ozdobne okna tak ironicznie na was wyglądają! Na tych ścianach wykwiłtynie rzeźbionych czytacie smutne przepowiednie ich losu i sens moralny, który mówi: wedle stawu grobla.

Odebraliśmy list następujący od szanownego dyrektora Instytutu głuchoniemych:

„W numerze 25 Tygodnika, mówiąc o wydanej przez Instytut czwartej części *Nauki języka polskiego*, kronikarz zapytuje: dla kogo wydają się te podręczniki? Odpowiedź moja będzie bardzo krótka: dla tych samych, dla których wydają się wszelkie inne podręczniki, to jest dla nauczycieli i dla uczniów. Nauczyciel obowiązany jest być obeznanym z metodą uczenia głuchoniemych, ale do tej znajomości dochodzi długoletniemu obcowaniem ze swymi wychowancami, musi iść omackiem, próbować, stwarzać sobie metodę; tu ma ją już gotową, a ułożoną na zasadzie długiego doświadczenia kolegów starszych. Powtóre, podręcznik pożytecznym jest i dla uczniów, bo bez niego nauczyciel musiałby kurs dyktować, a przez to marnować czas, który pożyteczniej mógłby być użyty.“

Szanowny dyrektor, tłumacząc cel w mowie będącego wydawnictwa, dowodzi tym samym, że zapytania naszego nie zrozumiał. Znamy dobrze przeznaczenie i pożytek takich książek, ale pytając: dla kogo to? — mieliśmy na myśli rozpoznanie ich po za Instytutem, wiedząc, niestety, aż nadto dobrze, że nikt się nie kwapi do korzystania z owych dziełek. Dla kogóż więc istnieją, jeżeli nikt z nich nie użytkuje, a jednak cel ich istnienia tak jest ważny?.. Dla kogo — pytamy raz jeszcze, z wymówką względem tych wszystkich, którzy miéwają sposobność ratowania głuchoniemych przez nauczanie, a czynić tego nie chcą?

Że Instytut zaskarbia sobie ogromną zasługę przez opracowywanie podobnych podręczników, to zrozumie każdy, kto pojmuje całą ważność istnienia takich książek. W liście też szanownego dyrektora z pociechą wyczytaliśmy co następuje:

„Przed 10-ą laty, prócz nauki religii i książki do nabożeństwa, żadnego dziełka, dla głuchoniemych specjalnie poświęconego, nie było. Dziś jest ich ze *dwadzieścia*. Mamy systematyczny wykład nauki religii w 2 tomach, wyłącznie dla nauczycieli; w Pamiętniku, który się ukaże we wrześniu, zamieszczoną będzie metoda uczenia rachunków; wydano Przewodnik dla rodziców i nauczycieli co do uczenia mowy. Obecnie układają się: gramatyka na klasę 5 o składni, mineralogia, zoologia, wypisy na wszystkie klasy, stosownie do postępu uczniów w nauce mowy; rozmówki w przedmiotach z życia potocznego; systematyczny wykład geografii i historii; wiadomości z nauki o stosunkach społecznych, z higieny i fizyki. Kiedy już te wszystkie dziełka będą wydane, zamknie się cykl nauk dla głuchoniemych. Następny nasi będą już mieli obowiązek nie tworzenia rzeczy nowych, lecz tylko poprawiania prac swoich poprzedników.“

Szczęść Boże tym zaenym usiłowaniam!..

Pisze dalej szanowny dyrektor Papłowski:

„Co do zakładania nowych szkół dla głuchoniemych, to Tygodnik pierwszy w tej sprawie podniósł głos sympatyczny i poważny. Ale rozpaczać nie należy: jeżeli szkół tych dotąd niema, to będą jutro... nie trzeba tylko ustawać w nawoływaniu ludzi do poczucia swych obowiązków, a przyjdzie czas że myśl stanie się czynem. Ani na chwilę nie wątpię że się ona urzeczywistni, tylko jeszcze dojrzyć musi: żniwo będzie, a Instytut zawczasu przygotowuje żniwiarzy!“

Józef Ignacy Kraszewski, ten kolos pracy nie-spożytej, rzucił znowu między tłumy chciwych czytelników owoc swych trudów, jako początek olbrzymiego dzieła: zbioru powieści z dziejów naszych.

Tym początkiem jest „Stara baśń“ w trzech tomach, sięgająca czasów bajecznych, w których słowiańska nasza kolébka otaczała się wieńcami poetycznego kwiecia podań, klechd i pieśni.

Po „Starą baśń“ nastąpią inne, coraz świeższych czasów dotyczące utwory nieustrudzonego mistrza. I oto rozsnuje się dziejowy wątek, w tęczowej barwie opowiadania, któremu oby się

przysłuchiwały z upodobaniem jaknajdalsze pokolenia! Będzie to wspaniała całość pierwszorzędnej znaczenia, epopeja powieściowa, o której marzą Niemcy, czytając „Ingrę i Ingrabana“ Freytaga, jako początek dzieła, podobnego planem i celem do cyklu historycznych powieści Kraszewskiego. My jednak mamy większą pewnością urzeczywistnienia tak pięknego zamiaru. Nasz Kraszewski nie umie zwlekać obietnic, do zamierzonej pracy rwie się z niepowściągniętym zapalem — owoce jej więc urodzą się szybko. Dziwny to człowiek, ten nasz sędziwy, zacny Kraszewski! Inni w jego wieku z pola już schodzą, sławę swą przeżywając, a on coraz nowym świeci blaskiem, coraz wspanialsze przedsięwzięcia zamierza, coraz silniej przykuwa do siebie uwagę i serce.

Gazeta przemysłowo-rzemieślnicza“ w numerze 28 pomieściła „List z Warszawy w sprawie drukarstwa“, przez p. Walczakiewicza, towarzysza sztuki drukarskiej napisany. List ten dotyczy sprawy, która lat temu kilkanaście żywą w ogóle budziła sympatyę, a dzisiaj, pomimo to że jest słuszną i godną poparcia, znajduje przeciwdziałanie w wydawniczej spekulacji. Chcemy tu mówić o należnym drukarzom odpoczynku w dniach niedzielnych i świątecznych.

Pan W. w liście swoim pisze:

„Przed laty kilkunastu redaktorowie pism codziennie wychodzących w Warszawie, po poprzedniej naradzie, jednomyślnie zdecydowali nie wydawać pism rzeczonych w dni niedzielne.“

„Fakt ten, wybitnie świadczący o szlachetności i dobrej woli kierowników opinii publicznej, przez towarzyszy sztuki drukarskiej przyjęty został naturalnie z niedającą się wysłowić radością, a na pamiętkę wieczną postanowili oni corocześnie dzień ten obchodzić nabożeństwem, ze wspólną kasy ich opłacaniem, czego urzędy starszych święcie po dziś dzień dopełniają.“

„Ktoby zaś o tym powątpiewał, niech zajrzy do kościoła, w którym nabożeństwo to się odprawia, (\*) a zobaczy tam gromadkę ludzi, dziękujących Najwyższemu na klęczkach za to, że natęchnął wydawców dobrą wolą, by dzień niedzielny szanowali sami i współpracowników swych do gwałcenia go nie zmuszali. W gronie tym towarzyszy sztuki drukarskiej znajdują się, choć nielicznie, tacy, co pamiętają owe niewolnicze czasy, w których dzień, wyznaczony przez Stwórcę do odpoczynku, jak każdy inny przechodzić im musiał, a dziś z ciągłego mozolu pozostało im tylko nadwątłone zdrowie i siwizna przedwczesna... chociaż to nie pochodzi z ich winy.“

„Powyższe słowa nasunęła mi wieść, która rozeszła się dość szeroko i tak przez zdziwioną publiczność, jak i oburzonych towarzyszy sztuki drukarskiej jest powtarzana, a mianowicie: że jedno z pism, w widokach spekulacyjnych, chce zburzyć tę pamiętną uchwałę ludzi dla dobra ogółu szczerze pracujących, zaprowadzając jako nowość wydawanie pisma w dni niedzielne.“

„Jak nazwać taką anti-postępową myśl targania się na obalenie uswieconych zwyczajów, i jaka zachodzi tego potrzeba? — niech odpowie każdy dobrze myślący człowiek...“

„Czyż towarzysze sztuki drukarskiej, pracując uciążliwie 12 godzin dziennie, w ciągłej styczności z materiałem ołowianym, który dla zdrowia wcale nie jest pomocnym, jednego dnia na tydzień nie mogą swobodnie odpocząć?.. Czyż mało ich corocznie na suchoty umiera?.. Czyż nie mają oni, równie jak wszyscy inni robotnicy, obowiązków rodzinnych, ażeby im ktokolwiek we własnych widokach narzucać mógł tak uciążliwe pęta, odgradzające ich jak murem chińskim od tego wszystkiego, co myśl i organizm ludzki po całotygodniowej pracy orzeźwiać i pokrzepiać winno?“

(\*) Odbywało się ono corocznie w Przewodnią niedzielę, w kościele św. Józefa Oblubieńca na Krakowskim przedmieściu. Czy odbywać się będzie i nadal, przy zmienionym stanie rzeczy... nie wiemy.

To co p. Walczakiewicz nazwał tydzień temu pogłoską, dzisiaj jest już rzeczywistością. Targnięto się istotnie na niedzielę drukarzy, na ich dzień spoczynku, na ten jedyny dzień zresztą, w którym mogą oni przypomnieć sobie, że po za ciężką pracą, po za kasztą opyloną i zaduszoną powietrzem izby roboczej jest świat cały, pełen światła, zieleni, spoczynku, a czasem i szczęścia...

Ubolewając nad spełnionym już faktem, do uwag pana Walczakiewicza nie dodajemy ze swą strony żadnych. Przypuszczamy jednak, iż to co miało lat temu kilkanaście pobudki słuszne, nie straciło ich i dzisiaj. Gdyby nawet za pracę w dni świąteczne wydawcy, łamiący zwyczaj już ustalony, płacili w dwójnasób, to i tym nawet nie usprawiedliwią się z zarzutu, że swój własny interes stawiają ponad prawami ogólnie ludzkimi, których nikt lekceważyć nie powinien.

## Przegląd teatralny.

Pierwszy występ panny Maryi Deryng.

Od kilku już miesięcy rozechodziły się pogłoski w Warszawie, że pani Modrzejewska opuszcza scenę, a na jej miejsce przybywa zaangażowana ze Lwowa panna Marya Deryng, o talencie której krążyły rozmaite wieści. Jedni dowodzili, że naszej Modrzejewskiej nikt zastąpić nie zdoła; drudzy upierali się zapamiętale przy tym, że panna Deryng przewyższa talentem panią Modrzejewską; inni nareszcie twierdzili, że artystka lwowska ma wysokie zdolności, lecz w kierunku tylko dramatu poważnego lub tragedji, a w dramacie lirycznym i komedji salonowej pani Modrzejewskiej zastąpić nie będzie mogła.

Tymczasem dyrekcya teatrów warszawskich o żadnym zastępowaniu pani Modrzejewskiej wcale nawet nie pomyślała. Znakomita nasza artystka wyjechała na odpoczynek letni, a panna Deryng została zaangażowaną wprzód, zanim pani Modrzejewska zażądała dla siebie urlopu.

Dwa tygodnie upłynęły, jak poraz ostatni zegnała Warszawę wysoko ceniona artystka, a zaledwie publiczność miała czas zastanowić się nad stratą jaką scena warszawska na kilka miesięcy poniosła, gdy naraz wieść się rozeszła: „Deryng przyjechała!... „Deryng jutro wystąpi w Intrydze i miłości Szyllera!“

Nie mamy tu zamiaru przytaczać treści sztuki nieśmiertelnego poety, bo komuż ona znana nie jest? Nie rozbierzemy również jej stron dodatnich i ujemnych, bo o tych wiele i obszernie już pisano — powiemy tylko, że Ludwika w tragedji Intryga i miłość jest bohaterką podobną bardzo do Amelii w Zbójcach, a nawet do wszystkich bohaterów Szyllerowskich. Szyller był genialnym swego wieku fotografem. Chwytał charaktery młodych dziewcząt niemieckich, jakby na gorącym uczynku i odtwarzał je w swych utworach dramatycznych z niepospolitym talentem. Lecz czemuże się charaktery te głównie odznaczają? Sentymentalnością... tą odwieczną cechą, znamionującą i dziś jeszcze dziewczęta germańskie.

Znając z tej strony wielkiego pisarza, że nigdy nie tworzył charakteru, jakimby dziewczę-bohaterka powinna się odznaczać, lecz tylko wiernie go z natury kopiował — znając również od lat już kilku talent panny Deryng, z pewną trwogą wewnętrzną zadawaliśmy sobie pytanie, jak wywiąże się młoda artystka z tej roli? Czy energia jej i zapał będą umiały ustąpić łagodnemu, trochę szlamazarnemu sentymentalizmowi, jakiego charakter Ludwika wymaga od artystki?

I zostawaliśmy w tym powatpiwaniu aż do sceny pomiędzy Walterem i Ludwiką, w akcie czwartym. W istocie, panna Deryng Modrzejewskiej nie zastąpiła, bo panna Deryng stworzyła typ nowy.

Niegdyś jeden ze sprawozdawców teatralnych wyraził się o znakomitym naszym artyście-tragiku Janie Królikowskim, że „skradł myśl autora,“ grając rolę Rodina w *Zydzie tułaczem*. Przed kilku laty ośmieliliśmy się, idąc za przekonaniem osobistym, w jednym z polskich dzienników po-

wiedzić, że *Bolesław Ładnowski*, artysta sceny lwowskiej, najlepiej pojął charakter *Franciszka Moora* w *Zbójcach* Szyllera. Dziś znowu twierdzimy stanowczo, że panna *Marya Deryng* w roli *Ludwika Miller* stworzyła zupełnie nowy, prześliczny typ młodej dziewczę, godny tego uwielbienia i tej miłości, jaką dla niej bohater tragedji jest przejęty.

Doprawdy, już wiele artystek w tej samej sztuce widzieliśmy na rozmaitych scenach europejskich, a żadna z nich nie wzruszyła nas tak głęboko. Wyznajemy otwarcie, że kilkakrotnie zapominaliśmy o tym iż jesteśmy w teatrze i razem z bohaterką cierpielismy, gdy rzewnie skarżyła się Bogu, albo uczuwalismy pewną radość wewnętrzną, gdy widzieliśmy ją choć na chwilę szczęśliwą lub nadzieją ożywioną.

Powtarzamy raz jeszcze: panna Deryng w roli Ludwika Miller stworzyła bohaterkę-dziewicę z tak wielkimi przymiotami duszy, że pomimo błędów, cechujących tragedję i niekonsekwencyj w niektórych scenach, za które ostatecznie artystka odpowiadać nie może, panna Deryng gra swoją tak potężnie zajmuje uwagę widza i słuchacza, że wiele rzeczy, mogących razić w sztuce, przy grze choćby dokładnej, lecz nie tak wysoce artystycznej, przeszło niepostrzeżenie. Postać Ludwika była dla nas sympatyczną, wzniosłą, piękną i uroczą.

Ażeby rozebrać wszystkie odcienia, które artystka sumiennie wystudowała, musielibyśmy przechodzić je szczegółowo, poczynając od pierwszego aktu. Wolimy wszakże wszechstronniej grze artystki się przypatrzeć, widzieć ją w innych rolach i wtedy dopiero od wrażeń ogólnych przejść do szczegółowego sprawozdania. Wyznajemy otwarcie, że zostajemy pod wpływem usposobienia tak pochlebnego dla Ludwika, którą w osobie panny Deryng na scenie podziwialiśmy, że dziś powściągliwie ograniczymy się na wypowiedzeniu tylko ogólnym uznania naszego dla wielkiego jej talentu i rutyny scenicznej, jaką młoda artystka już sobie zdobyła.

Jeśli do tego dodamy postać wdzięczną, grę umiejętną twarzy i oczu, a nadto głos prześliczny, melodyjny, przyjemny i odpowiednio silny, którym tak dzielnie władać umie, — łatwo sobie wytłumaczymy, dlaczego tak ogólne i korzystne dla siebie wywarła wrażenie. Kiedy młoda artystka wypowiada słowa miłości, oparta głową na piersiach kochanka, to wierzymy mimowolnie, że ta kobieta kocha prawdziwie. Kiedy się rzuca w objęcia ojca, nawrócona przez niego z drogi błędnej, i woła z uczuciem: „ojczel!“ — wtedy chyba w teatrze ani jednego kochającego niema ojca, które-muby serce nie zadrżało.

O ile też oklaski witające młoda debutantkę przy pierwszym jej pojawieniu się na scenie były oznaką sympatii pewnej tylko liczby osób, już ją znających, o tyle po kilkakroć przywoływano ją później ze szczerem oznakami zapała. Niech je młoda artystka przyjmie takim sercem, jakim były jej ofiarowane.

## Przegląd polityki zagranicznej.

14 lipca.

Chcąc sobie zdać sprawę z obecnego stadium wojny serbsko-tureckiej, której przebiegu w szczegółach bardzo trudno jest śledzić i której szczegóły zresztą nie budzą znowu tak wielkiego zajęcia czytelników — trzeba znać dokładnie położenie obu walczących armij. Tymczasem prawie nie wiemy o położeniu i ruchach wojsk tureckich, nie wiemy nawet jak się one dzielą i ile mają frontów operacyjnych. O armiach serbskich zato jesteśmy poinformowani dosyć dokładnie. Skrajne prawe ich skrzydło stanowi dywizya nad-dryńska, którą dowodzi pułkownik Ranko Alimpicz. Jeszcze 27 czerwca wysłała ona za Drynę jako przednie strażę kilka bardzo silnych oddziałów ochotniczych, 2 lipca zaś sama przeszła rzekę między Lesznicą i Losnicą. Niebawem starła się z Turkami, nie

cała lecz częściowo, i po wielu drobnych potyczkach d. 6 lipca zdobyła miasteczko Bielinę, świeżo przez Turków wałem ziemnym opasane. Atoli w nocy z 6 na 7 Serbowie zostali wyparci z Bieliny i prawdopodobnie nawet wypędzeni nazad do swego kraju. Bitwy pod Medzaczą, Balutynem, Raczą, miały właśnie taki niepomysłny dla Serbów rezultat. Powetowali oni sobie tę klęskę zwycięstwem Sakaru czyli Malego Zwornika; nie jest to owa ważna w Bośni twierdza turecka, Wielki Zwornik, tylko niewielka forteczka turecka na terytorjum serbskim. Czy dzisiaj dywizya Alimpieza jest już znowu cała w Bośni, czy też z tej strony Dryny, nie można wiedzieć na pewno. Według depezy z Białogrodu wysłano mu posiłki, chociaż ludzi ma mieć dosyć, bo ochotnicy z całej Bośni zbiegają się pod jego chorągiew. W jednej z depez serbskich spotykamy szczególnego rodzaju doniesienie, a mianowicie że w wojsku tureckim nad Dryną jest wielu przebranych z turecka Węgrów i że słyszano tam komendę niemiecką.

W kilka dni po korpusie Alimpieza i innych, wkroczył do Turcyi gen. Zach, z dywizją zachodnio-morawską. W dniach 5 i 6 lipca wszczęła się walka, w której Zach pod Siewnicą został odparty w góry jaworskie. Pozycje pod N. Bazarem zostały utrzymane. Z Białogrodu donoszą, że Zachowi odjęto dowództwo, które objął sam minister wojny, pułkownik Nikolin.

O głównej armii serbskiej pod dowództwem Czerniajewa brak pewnych wiadomości. Wyszedł on z Belgradu pod Aleksinaczem i 2 lipca przeszedł granicę naprzeciw Niszu. Front tej armii rozrzucony był bardzo szeroko. Jedna brygada szła brzegiem Morawy, druga przeszła przez rzeczkę Topolnicę na brzeg prawy, a generał z resztą armii obszedł Nisz i posunął się ku drodze wiodącej do Sofii. Zrazu mniemano, że przez Akpalankę i Pirot pójdzie dalej w głąb Bulgaryi organizować powstanie, ale zatrzymał się podobno w Akpalance i tutaj werbuje ochotników ile tylko może. Zresztą donoszono już kilka razy, że został rozbity i nawzajem ze Turków pobit.

Skrajne lewe skrzydło armii serbskiej zostaje pod dowództwem pułkownika Leszjanina, który miał z początku trzymać się w Zajeczarze zupełnie odpornie, ale także spróbował sił swoich zwycięstwie i został odparty. Wszelako w ostatnich dniach, jak piszą, ochotnicy bulgarsey zagrozili tyłom armii tureckiej, operującej nad Timokiem, zmusili ją do schronienia się w cytadeli widyńskiej, a pułkownik Becker, dowodzący częścią korpusu Leszjanina, przeszedł Timok pod Negotynem i skierował się ku Widynowi, dokąd Turcy ze swojej strony nadsyłają znaczne posiłki Dunajem. Serbowie ostrzeliwują też na Dunaju fort Adakale pod Orsową.

Czarnogórcy dzielą się na trzy oddziały. Jeden stoi na południo-wschodzie, wprost Podgórzycy, i trzyma się głównie odpornie; drugi poszedł ku północy, żeby się połączyć z dywizją Zacha i nie o nim dotąd nie słyhać, a trzeci pod rozkazami samego ks. Mikolaja zajął podobno Gackopole i organizuje siły hercegowińskich powstańców. Oporu nie spotyka nigdzie, bo Turcy prawie opuścili Hercegowinę. Muchtar-pasza przebywa w Serajewie.

Układy monarchów w Reichstadzie d. 8 b. m. odbywały się na podstawie zasady nieinterwencji, którą i cała Europa w sprawie serbsko-tureckiej zdaje się uważać za najwłaściwszą. Po wojnie atoli interwencya dyplomatyczna będzie konieczną, zarówno wtedy gdy Turcy zwyciężą, jak w razie przeciwnym. Zapewniają, że między Rosją i Austryją nastąpiło porozumienie się, tak pod względem jednej jak drugiej ewentualności. Rezultatem owego porozumienia się ma być: niedozwolenie Serbii czynienia zaborów terytorjalnych, lecz poręczenie jej tych samych praw, które ma dzisiaj, a prócz tego ustąpienie na jej korzyść Zwornika. Czy jednak taki układ może zapobiedz wszelkiemu niebezpieczeństwu rozszerzenia się wojny lokalnej?... wątpimy.

(Ind. Bel. Sch. Ztg. Jour. des Deb. Nord. Times.)



Ulica w Wenecyi. Podług własnego obrazu rysował Wojciech Kossak.



Wystawa powszechna w Filadelfii. Wnętrze gmachu głównego.

## LISTY Z WYSTAWY FILADELFIJSKIEJ

Sygurda Wiśniowskiego.

## VI.

(Dokończenie.)

Nie chcąc wyliczać więcej obrazów francuzkich, przechodzę do angielskiej wystawy, najlepszej tu z dwóch przyczyn. Najpierw zapelnili Angliacy jeden salon dobrymi płótnami zmarłych już mistrzów, o ustalonej reputacji; a powtórę żyjący ich malarze, z przedsiębiorczością godną naśladowania, chętnie przyjęli zaprosiny, by nowe swe prace przedstawić amerykańskim amatorom.

W pierwszym salonie jest piękny portret Reynoldsa, własnego pędzla, Hiltona Porwanie Gannymeda, Turnera Dolbalden Castle, Gainsborougha portret księżny Richmond, Fritha Ślub księcia Walii i inne, dobrze znane w Europie obrazy. W salach poświęconych nowym utworom, Leighton, wystawiający trzy obrazy, na pierwsze zasługuje wspomnienie. Jego Noc letnia miesięczna wszystkich zachwyca srebrnymi strumieniami światła.

Na morskich obrazach nie zbywa w tej wystawie morskiego narodu. Moore, Brett i Hunter przysłali widoki scen nadbrzeżnych. Hooka wyborny obraz życia w kopalniach, Prinsepa Kleopatry i wiele innych znajdują zapewne — sądząc z zajęć, z jakimi na nie patrzą znawcy tutejsi — kupców amerykańskich. Prawdopodobnie niewiele dobrych obrazów tu na sprzedaż przysłanych wróci do Europy.

Szwedom i Hiszpanom oddano jeden salon, jakby dla pokazania sprzeczności ich szkół. Obrazów szwedzkich, z wyjątkiem utworu Malbena, przedstawiającego elfy płaszące przed świtem w mgłę nadrzeczną, wspominać niewarto. W hiszpańskim oddziale jest kilka prac Moralesa, Ribery i Murilla. Z pomiędzy nowożytnych obrazów najbardziej mi się podobał Pogrzeb w sykstyńskiej kaplicy, przemawiający do uczuć żywych zawsze w sercach osób, pamiętających wspaniałe religijne obrzędy południowych narodów.

Wystawa austriacka, zajmująca jeden spory salon, nie tylko zaszczyca malarzy co ją obesłali, lecz i komisją, co ją urządziła. Wbrew niedbalstwu francuzkich, niemieckich i angielskich nawet komisarzy, rakuzy nie wpuszcili do swego salonu nic, co by nie zasługiwało na pochwałę. Chcąc zapoznać Amerykan z wartością austriackich artystów, woleli im tylko najlepsze próbki swęj szkoły przedstawić. Skutek też przekonał ich, że postąpili roztropnie. Żaden salon nie ściąga tylu widzów, w żadnym tak długo nie bawią ci znawcy, co nie tylko chwalić, lecz i kupować umieją.

Perłą salonu jest Mackarta Katarzyna Cornaro. Zbyt ją dobrze znacie z reputacji i sztychów, bym o niej wspominał obszernie. Komisarze postawili naprzeciw tego obrazu wygodną kanapę, na której bezustannie ujrzyć można grupę zachwyconych widzów, należących do kół artystycznych tutejszych.

Schams przysłał scenę pełną humoru, tém miłszą dla Amerykan, że przedstawia im widowisko nieobce. Deputacya mieszczan staje w niej przed krawcem, bez swęj wiedzy obranym na burmistrza, i oświadcza mu jaki zaszczyt go spotkał. Zadziwienie i radość poważnego *Herr Bürgermeistra* bardzo trafnie oddane. Żony i córki twarze w kuchni, przy świetle ogniska, noszą wyraz niewieściej dumy z wypadku, otwierającego im pole do popisów towarzyskich.

Friedländera Lękliwy kochanek, Smakosze starzy, kosztujący winko, Dewotka w kościele św. Szczepana i inne rodzajowe obrazy teńną humorem i życiem. Ktokolwiek zna typy wiedeńskie, przyzna że malarze wiernie je oddali w okazach tu przysłanych.

Z krajobrazów wymienię tylko Obermüllnera Grünalpe i Schaeffera krajobraz zimowy. Oprócz nich, spotkałem kilka dobrych płócien, przedstawiających widoki z Tyrolu i Alp salzburskich.

Prawie naprzeciw wielkiego obrazu Mackarta wiszą Centaur unoszący Dejanirę Baasa i Sąd

Parysa Mayera, pomijane pośpiesznie przez Amerykanki, *prudes* nawet w galeryach sztuk pięknych.

Pomiędzy portretami, Smolka Grabowskiego, w czarnym, narodowym stroju, bardzo intryguje Amerykanów. Takich wąsów i takiego ubioru nikt tu dotąd nie widział.

Rossyjska komisya jęszcze się nie zabrała do rozpakowania swęj wystawy, mimowolnie więc muszę odłożyć na później wzmiankę o warszawskich przysyłkach. W zbiorach prywatnych, pożyczonych dla upiększenia wystawy, spotkałem sławny obraz Wagnera, Wyścięgi rydwanów w rzymskiem Kolizeum.

W aneksie i salach przytykających do wystawy niemieckiej w głównym pawilonie, amerykańscy malarze i pseudo-malarze przemawiają do serc patriotycznych i kiesek swych ziomków. Dzięki im, wystawa niemiecka nie jest najgorszą ze wszystkich. W niemieckiej jest choć kilka niezłych obrazów, w amerykańskiej, z wyjątkiem portretów, same tylko straszdyła. W bezwstydnem lubowaniu się w cielistych kolorach i lubieżnych kształtach, malarze amerykańscy celują. Skromne ich i piękne rodaczki nie mogą się skarżyć na austriacki Sąd Parysa, gdyż we własnym swoim oddziale, tuż naprzeciw wehodu do głównego salonu, wisi Greya Wenera odbierająca jabłko, najbezpieczniejsza z nierządnic, przedstawionych czyimkolwiek pędzlem.

Zdaje się że każdy bazgracz nowoświatowy położył sobie za zadanie życia, wymalować coś nędznego, lub odszukać stokroć potępioną próbkę lichego pędzla, by tu ją przysłać i zamienić salony amerykańskie w pośmiewisko świata. Dla uwięczenia tych usiłowań, komisya ich odszukała i w honorowem powiesiła miejsce ogromną bazgraninę Rothermela, osławioną bitwę pod Gettysburgem. O rozmiarach jęj dam wam wyobrażenie, gdy wspomnę że największy obraz w galeryi wersalskiej wyglądałby obok niej jak miniatura. Pokrywa on całą ścianę, od podłogi do sufitu, w sporęj sali. Ile tam tysięcy figur tłucze się kolbami, kłuje bagnietami, zabija lub kona, liczyć niewarto. Wykształceni Amerykanie ze wstydem umykają z salonu, w którym coś podobnego powieszono, jako *chef d'oeuvre* ich sztuki i karykaturę wielkiej bitwy.

Zbiór Lincolnów, Washingtonów, a nawet Beecherów i Colfaxów, których osławione oblicza przypominają gościom niemiłe ustępy z historyi socyalnej i politycznej ostatniego lat dziesiątka, nie przysporzy reputacji malarzom i komisji, wpuszczającej takie rzeczy do wszechświatowej wystawy.

Obrazy włoskie, bez wyjątku bardzo mierne, belgijskie i holenderskie wiszą w aneksie, nie będąc jednak główną jego ozdobą, gdyż rzeźby tu ugrupowane je zaćmiwiają.

O tych płodach dłużej włoskich i amerykańskich rozpisywać się nie myślę. Najpiękniejsze z nich, jak matka podrzucająca Mojżesza Bergazego, Bachus leżący wśród winogron Zocchi i t. p. znane są z Wiednia. Prawdę mówiąc, zdaje mi się że cały zbiór z rotundy i włoskiej wystawy wiedeńskiej, z kilkudziesięciu dodatkami, przeniesiono do aneksu filadelfijskiego. W Europie zarzucano im cyniczny prawie realizm. Podróż morską nie posunęła ich bliżej do idealnej piękności. Jak tumany białego śniegu, wieszają się one w salach i kruzgankach pawilonu dla nich przeznaczonego, płacząc, zgrzytając, urągając, śmiejąc się, w pozach tragicznych, komicznych, a najczęściej lubieżnych. Gdybym imiona Dupré, Fedi, Vela mógł odczytać na świstkach do nich przyklejonych, zwątpiłbym o sztuce włoskiej. Gdy jednak żaden słynny mistrz nie raczył tu nie przysłać i na każdym dziele przysłanem czytam wielkimi literami: *for sale* i *à vendre*, oraz adres agenta tu mieszkającego, któremu tę sprzedaż poruczono, domyślam się że posagi te tylko dlatego przyczyniają się do przystrojenia jubileuszowej wystawy, że we Włoszech nikt kupić ich nie chciał. Czy znajdują kupców w Ameryce, wątpię. Yankesy, nie znając się na takich rzeczach, chwala je, lecz gdy płacić wypada, wzywają rady znawców i bardzo ostrożnie rozstają się z pieniędzmi.

Skończyłem gorączkową pracę. Lękając się, bym jęj nie zniszczył po przeczytaniu, puszczałem ją bez poprawek i dodatków w zamorską podróż, trwając się by śmiałości męj w porwaniu się na opis największego widowiska, jakie świat widział kiedykolwiek, nie nazwano szaleństwem. Dzienniki amerykańskie utrzymują tu setki reporterów; przeszło 1400 sprawozdawców od świtu do zmroku przebiega labirynty pałaców od dwóch tygodni; setki tomów już zadrukowano ich opisami; jednakże nikt dotąd nie opisał, nie pojął nawet całej wystawy. Któryż-bo sprawozdawca zdołałby dokładnie choć tysięczną część jęj opisać?

O całości nielatwo też wydać sąd stanowczy. Czy wystawa filadelfijska, największa z oglądanych przezemnie tego rodzaju widowisk, jest najlepszą, nie mogę wyrzec. Zdaje mi się że nie pod każdym względem zasługuje na pierwszeństwo. Okazy w pałacu głównym, o wiele liczniejsze od wiedeńskich, częściej przypominają bazar, gdzie rzeczy małej wartości zmieszano z cennymi, niż wystawę najznakomitszych próbek przemysłu. Nadto tam gratów, by czasu i cierpliwości stało na odszukanie rzeczy godnych opisu.

Wystawy sztuk pięknych, zmieszanej w jednym aneksie z figlami podejrzanęj wartości, jak na przykład relikwiami z wojny o niepodległość, automatami z gutaperki, przedstawiającymi rozmaianą, niby odpychającą i głową kiwającą piękność, i t. p. pomysłami dowcipu barbarzyńców tutejszych, nie porównam nawet z wiedeńską. Tam mistrze pierwszorzędni, tu uczniowie ich walczą o pierwszeństwo.

Co do zbioru jednak maszyn i wystawy rolniczej, bez wahania się powiem, że nie podobnego świat dotąd nie oglądał. Choćby tylko dla ich ujrzenia, oplaciłaby się mechanikom i gospodarzom europejskim podróż do Filadelfii.

## PRZESADY,

komedia w pięciu aktach,

przez

EDWARDA LUBOWSKIEGO.

(Dalszy ciąg.)

SPUERER.

Miłość, miłość nielitościwa, panie hrabio, a przytęm co znaczy ta nędzna odwłoka? Alboż ja długo pożyję? astma... wada sercowa... wątroba zaatakowana... pomacaj, panie hrabio... Dałby Bóg, abym pożył jęszcze dwa lata... dałby Bóg rok choćby jeden! A potęm całe sześć milionów weźmie z prawa Adelincia, respective mąż jęj...

ARTUR.

Przyznam się, panie Spuerer...

SPUERER.

Możesz hrabio, powiedzieć: von Spuerer; kupię tytułik, bo cöz mnie znaczy nędznych kilkadziesiąt tysięcy? Świat lubi baronów, będzie miał jednego więcj. Uczynię to dla szczęścia Adelincia; dla jęj szczęścia gotów ci jestem rzucić się do nóg, panie hrabio. (*Chce ukleknąć.*)

ARTUR (*zatrzymując go, mówi łagodnie.*)

Ależ drogi panie, to co pan mówisz zastaje mnie tak nieprzygotowanym. Nie wiedziałem wręście że mam szczęście podobać się pannie Adeli.

SPUERER.

Podobać? ona pana ubóstwia i gdy się dowię że rękę jęj przyjmujesz...

ARTUR.

Lecz ja nie mówię jęszcze...

SPUERER.

Poco mówię wiele, gdy dwa serca się rozumieją?

ARTUR.

Dwa, lecz tu mowa była dopięro o jednym.

SPUERER.

Gdy się mówi o jednym, niepodobna nie myśleć o drugim.

ARTUR.

Panie Spuerer, małżeństwo to sprawa całego życia.

SPUERER.

A miłość nie?.. Ręczę panu hrabiemu całym moim majątkiem, że ją pokochasz. Któżby nie pokochał tej anielskiej istoty? Biegnę, lecę do niej, ona umrze z radości.

ARTUR.

Badź co badź, potrzebuję dłuższego zastanowienia...

SPUERER.

Zastanowimy się razem, panie hrabio — przyniosę dokumenta — spiszę wszystko, bo jesteśmy śmiertelni, a każdy dzień zrabowany ję szczęściu byłby świętokradztwem. Żegnam, żegnam, najdroższy hrabio! (*Wraca od drzwi lewych.*) Ot patrzaj, mój hrabio, jak się męczę, ledwie oddycham, a gdy mi broń Boże Adelincia zemdleje z radości, mogę paść na miejscu! I wy może jeszcze przed ślubem już mnie pogrzebiecie! Do zobaczenia, najdroższy hrabio, do zobaczenia! (*Na stronie.*) *Ich hab' Geduld.* (*Wybiega.*)

## Scena 5.

ARTUR, *potem* ZDZISŁAW.

ARTUR.

Co to było? (*Dotykając czoła.*) Plama jakaś. (*Wzdryga się.*) Nie chciałbym teraz ujrzeć się w zwierciadle... Dałem się otumanić, ośzłomić, lecz wstyd... Pójdę zaraz, cofnę się... Cofnę?... (*Fauza.*) Dlaczego? dlatego że jego rodzice nie byli herbowi? Cóż on temu winien? a potem czyż nie te właśnie zaplesniałe przesady odebrały nam popularność i ustaliły przekonanie, że jesteśmy odpadłem i spróchniałem drzewem? Tak, trzeba dać przykład z siebie, jeżeli postęp nie ma być czczym i pustym wyrazem. A potem ję majątek, złączony z moim, postawi mię na czele wszystkich i wszystkiego... Tak, zdecydowałem się. Świat mój wiem że mnie tylko pochwali, a nawet milionów tych pozazdrości... wszyscy mnie chwalić będą... ja sam tylko... w tém nowém położeniu, nie mogę się jeszcze pozbyć pewnych skrupułów... Lecz wreszcie kto temu winien, kto mnie tam popchnął? Julia, ona niewdzięczna i ten... (*spostrzeżga Zdzisława, wchodzącego w głębi.*) Ha, witam pana! i na wstępie już wołam: Tryumfuj, zwyciężyłeś! (*Zbliżając się.*) Zostawiam ci wolne pole; Kochaj się po same uszy. Ustępuję ci gratis, celadonie. No! czemuż się nie cieszysz? Twoja Julia...

ZDZISŁAW (*ostro.*)

Dosyć tego!

ARTUR.

Odmówiła mi wręcz.

ZDZISŁAW.

Zatém nie omyliłem się, jest szlachetną.

ARTUR.

Dziękuję za komplement.

ZDZISŁAW.

Nie chciałem panu mówić komplementów.

ARTUR.

Powiesz je, gdy się dowiesz jak świetny przed chwilą ubiłem interes.

ZDZISŁAW.

Cóż mnie mogą obchodzić interesa pańskie?

ARTUR.

Żenię się z panną Spuerer.

ZDZISŁAW (*po chwili.*)

To podle!

ARTUR.

Do kroćset szatanów!

ZDZISŁAW.

Więc nie mylą się ludzie, gdy mówią że was zawsze kupić można.

ARTUR.

Przeléwasz miarkę!

ZDZISŁAW.

Gdyby panna Spuerer była ubogą, odrzuciłbyś ją z pogardą, ze wstrętem; lecz że ojciec ję miliony, zdobyte na krzywdzie twoich rodaków, rzuca ci pod nogi, zatém czegoż się tulać o pokalanie krwi tylowiekowych karmazynów? Jeśli to nie mezalians, cóż wy nazywacie mezaliansem?

ARTUR.

Śluchając cię, dam ostatni dowód, że nie zapomniał pokrewieństwa. Więc ty, który wideach postępu kąpiesz się i płuczesz, ty który tyle nam kazań prawisz o niedołęztwie, nie chcesz pojąć, że tylko siłą, czyli majątkiem, sprostać możemy ludziom nowym?

ZDZISŁAW.

Majątkiem zdobytym pracą, energią, inteligencją, lecz nie targiem obrzydłym na wszystko, co nam jeszcze świętego zostało. Nie stoicie samodzielnie, nie pociągacie ku sobie tych, którzyby sobie za zaszczyt mieli iść za wami; ale się czepiacie poły przewodników niezawsze czystych, szczęśliwi gdy wam okrucz spadnie z ich łaski. A te tak zwiększone fortuny na co wam służą? Na rozrzucanie pieniędzy w Paryżu, Londynie, Wiedniu, Pekinie choćby, wszędzie jedném słowem, byle nie na dobrobyt własnego kraju!

ARTUR.

Gdybym cię nie znał, żeś był zawsze dziwakiem, powiedziałbym tylko tyle: deklamujesz, tak samo jak ta kanalia, która nam zazdrości, niżej stojąc od nas. Lecz rób co chcesz, puść się na pełne morze dziwactw, po którym dotąd udawało ci się żeglować, aż się rozbijesz o skałę rozczarowania i żalu, żalu żeś opuścił naszą sferę. Żegnam i przebaczam ci uniesienie, którym mnie obrazić chciałeś — a gdy się trochę ostudzisz, to jest gdy się nakarmisz do niestrawności demokracją, kto wie, może ci i wtedy jeszcze rękę podam.

ZDZISŁAW.

Lecz ja teraz już nie podam ci swojej.

ARTUR.

Jak chcesz, aniolka!... Jak Mizię kocham, tyś chyba nie Orskil! (*Wraca od drzwi.*) A co do pięknej Julii, powiedz ję... (*Zdzisław pokazuje na drzwi, Artur chwile walczy, jak gdyby się chciał rzucić na niego, lecz potem machnąwszy ręką mówi:*) Powiedz ję, że na zamianie grubo stracił! (*Wychodzi głębią.*)

## Scena 6.

ZDZISŁAW, (*potem*) JULIA.

ZDZISŁAW.

Boże! wszak to mój brat, ten który być powinien piastunem cnót przekazanych tradycją. Upadł nie z fatalnej konieczności, ale dla złota! Lecz czémże sam dziś jestem? rozbitkiem, którego tamci się wyparli, a ci z niedowierzaniem słuchają. Dosyć już tój roli... nie wypada mi dłużej bawić w tym domu, gdzie jednak mogłem zdobyć niezależność. Pożegnaj się z poczciwym Żylastowiczem, pożegnaj się i z nią, dla której nie chcę być mimowolnym wyrzutem. Tak, skończę natychmiast. (*We drzwiach prawych spotyka Julię.*) Szedłem właśnie pożegnać panią...

JULIA.

Byłam tego pewną. Czémże bowiem jestem dziś w oczach pana?

ZDZISŁAW.

Wyrzut to niesprawiedliwy.

JULIA.

A jednak ja od owęj chwili blagam Boga o łaskę i o natchnienie, iżbym tę prawdę, która mieszka w duszy mojej, przelać mogła w pana. Pozostawiona samj sobie, bezwiednym, tęsknym marzeniom, uwierzyłam piérwшему człowiekowi, który umiał olśnić moję wyobraźnię, zawierzyłam słowom tego, który nie powinien ich być używać nigdy na igraszkę, na kłamstwo. Lecz nie tałam się przed ojcem, wyznałam mu prawdę i kiedy owęj nocy okropnej szłam tutaj w śmiertelnej trwodze, chciałam albo przekonać Artura iż mnie tylko przy blasku słońca otwarcie do ołtarza powieść winien, albo... pożegnać się z nim nazaawsze. Straszliwe słowa których wysłuchać musiałam, stałyby się dla mnie karą na całe życie, gdybym jednocześnie nie była słyszała twoich, panie, za które sierota ma lzy tylko, kobieta wdzięczność i uwielbienie do zgonu... (*Porywając go za rękę.*) Wiem, panie, że nie zwalczysz w sercu swoim surowych uprzedzeń, wiem że przejdiesz przez świat mimo mnie, a przecież pewność ta boli mnie okropnie... Och, jakże cierpie!

ZDZISŁAW.

Cierpienie takie nie ubliża, lecz oczyszcza, a na tym świecie za złudzeń wiele zapłacić trzeba gorczyzą i rozczarowaniem. Szczęśliwą pani jeszcze nazwać się możesz, że panujesz nad sobą.

JULIA (*namiętnie.*)

O nie! przysięgam, myśl sama o nim przejmuję mnie wstrętem.

ZDZISŁAW (*chłodno.*)

Zaprawdę, zaprawdę! Ochłoń pani wprzód ze wzruszenia.

JULIA.

Sama sobie dziwić się muszę. Wzruszoną jestem, bo się lękam twego, panie, wyroku, bo od tego wyroku — czuję to — zależy spokój mój w przyszłości.

ZDZISŁAW.

Żądasz pani zawiele, lub — jeśli odemnie to zawisło — zamało. Współczucie i honor nakazały mi bronić twojęj dobrej sławy i twego szczęścia; tego zaś współczucia, choćbym chciał, nie mógłbym pozbyć się tak łatwo.

JULIA.

Jeżeli tak, to pozostan z nami... a może zjednam sobie u pana skarb dla mnie najdroższy, którego miana dotąd wymówić nie śmiałam: szacunek.

## Scena 7.

CIZ I ŻYLASTOWICZ.

ŻYLASTOWICZ (*spostrzegłszy ścisłkających się za ręce, na stronie.*)

Jak widzę, spadłem z dęszczu pod rynnę.

JULIA (*przybiegając do niego.*)

Ojcie! gdybyś wiedział jak się czuję szczęśliwą!

ŻYLASTOWICZ.

Szczęśliwą, mimo tamtego? Ejże, panie Zdzisławie, z ciebie wielki czarownik: mnieś powstrzymał w zapalczywości, na czém dobrze wyszedłem; Juleczkę widzę uśmiechniętą, co się ję już dawno nie zdarzyło; siostrunia nawet moja trochę się usatkwowała, bo mniej już teraz skarży się na mnie, ale za to takie ma tajemnicze spojrzenia! (*Wchodzi Ciotka z Adelą.*) Teraz zato potok ję słów nie minie nas z pewnością.

## Scena 8.

CIZ, CIOTKA I ADELA.

CIOTKA.

Czy to być może, moi państwo drodzy? Gdyby mi tego nie mówiła ze sto razy panna Adela, nie uwierzyłabym nigdy.

ŻYLASTOWICZ.

Powiedzże ty nam choć raz.

CIOTKA.

Nie do uwierzenia! nie do uwierzenia!

ADELA.

Pani dziwi się rzeczy naturalnej?..

CIOTKA.

Naturalnej? a! daruj pani, temu nikt nie uwierzy, że pan Artur, który bywał tu odsześciu miesięcy...

ADELA.

Oświadczył się dziś ojcu memu o moję rękę.

CIOTKA.

Jakim sposobem?

ŻYLASTOWICZ (*szyderczo.*)

Bardzo prostym: punkt o godzinie drugiej oświadczył się o rękę panny Julii, a gdy został odrzucony, o kwadrans na trzecią oświadczył się o rękę panny Spuerer.

(*Dalszy ciąg nastąpi.*)

DLA RODZINY POZOSTAŁEJ PO Ś. P. WOJCIECHU GROCHOWSKIM otrzymaliśmy:

Od p. Ludwika Temlera, b. ucznia ś. p. Grochowskiego, rs. sto; od J. kop. 21; przelano z redakcyi Kuryera Warszawskiego rs. 20 kop. 9. Razem ze złożonemi poprzednio rs. 2,794.

Na budowę kościoła w Ciechocinku otrzymaliśmy od S. Falińskiego w Białej-Cerkwi rs. 3.

## FRANCISZEK PALACKI.

Wielkie zwroty w życiu narodów nie mogą być dziełem wyłącznie pojedynczych, choćby najgenialniejszych jednostek—są one zawsze wypadkową usiłowań, z początku słabych, niepewnych, prób nieudanych, za ledwie wylaniających się z zakresu marzycielstwa, aż wreszcie idea coraz więcej zyskuje zwolenników, rozlewa się w masę, z dziedziny platonicznych pragnień przechodzi coraz śmielej na pole czynu i coraz świadomiej kroczy po drodze urzeczywistnienia. Wszelako wśród pogoni za swymi celami, naród ogląda się zawsze za jakąś wybitniejszą jednostką, którejby mógł powierzyć buławę hetmańską, bo śmielej i pewniej idzie naprzód, gdy widzi nad sobą rękę, co mu drogę ukazuje. Imiona tych naczelnych w narodzie ludzi wiążą się tak ściśle z danym ruchem narodowym, iż stają się jego godłem, skryształizowaniem jego idei.

Takim człowiekiem dla Czechów w XIX w. był świeżo zgasty dziejopisarz i wódz polityczny Franciszek Palacki. Przez lat wiele był on najwybitniejszą osobistością w literaturze nowocześniejszej, jednostką tak ważną, tak wpływową, że, gdy dla Czechów przyszła chwila akcji politycznej, nikt inny, tylko on objął stanowisko pierwszorzędne, przewodniczące. Na tym stanowisku, wsparty wymową i energią zięcia swego, Riegera, był wodzem czynnym i imiennym, a choć w ostatnich latach, skutkiem zaszłego rozdwojenia, pewna część narodu wypowiedziała mu posłuszeństwo, wszelako do końca życia widział stronnictwo swe u steru spraw narodowych.

Mniej świadomi rzeczy, słysząc imię Palackiego, brzmiące zawsze, gdy mowa o sprawach czeskich, sądzą że cały obecny ruch nad Weltawą jego jest dziełem. Tymczasem Palacki należy już

do drugiej generacji mężów odrodzenia. Pierwsi budziciele głęboko upadłego narodu wystąpili w końcu przeszłego wieku, zelektryzowani nieświadomie prądem idei zachodnich; wystąpienie to jednak było nieśmiałe, lękliwe, słabe; brakowało mu wiary w ostateczny tryumf sprawy, któ-

Najznakomitszy z nich, Dobrowski, poświęciwszy się studjom języka ojczystego, sądził że ratuje jedynie dla nauki drogocenny zabytek, zanim ten w życiu zaginie. Gdy jednak zupełny języka i narodowości upadek nie nadchodził, nastąpiło drugie pokolenie, śmielsze i pewniejsze siebie; ale pół wieku ludzkiego czekać musiało, zanim niespodziewane wypadki 1848 r. przekonały, iż posiew się przyjął i ziarno zapadło głębiej nawet, niż sami siewcy sądzili. Do tego pokolenia należał Palacki.

Franciszek Palacki urodził się 14 czerwca 1797 r. we wsi Hodslawicach, niedaleko góry Radhoszt. Wieś ta leży na Morawie, w okolicy zamieszkiwanej przez lud zwany Walachami, ród górski, rosły, silny i krzepki, zajmujący się pasterstwem. Narzecze Walachów ciekawym jest dla nas wskutek tego, iż stanowi przejście od czeszczyzny do języka polskiego i podobnie jak w tym ostatnim, akcent kładzie się na przedostatniej zgłosce. Ojciec Franciszka, Jerzy, był nauczycielem wiejskim. Palaccy pochodzili z rodu, który przez długie lata odznaczał się wysokim patriotyzmem, a pod względem przekonań religijnych należał do braci czeskich, to jest do tego wyznania, które nie tylko z krańcowego husytyzmu wzięło dogmaty i organizacją duchowną, ale jeszcze dopełniło je bardzo surową moralnością. W czasach prześladowań religijnych i panowania jezuityzmu, Palaccy, podobnie jak i inni bracia czescy, musieli pozornie udawać uległość panującemu kościółowi; aż dopiero edykt tolerancyjny cesarza Józefa II (1781 r.) położył koniec przymusowi. Edykt jednak nie wspominał wcale o braciach czeskich, ci przeto mogli jedynie przystępować do wyznań augsburskiego lub helweckiego. Palaccy przystąpili do pierwszego, i ojciec Franciszka piastował urząd ewangelickiego nauczyciela we wsi Hodslawicach. Był to człowiek zacny, wy-

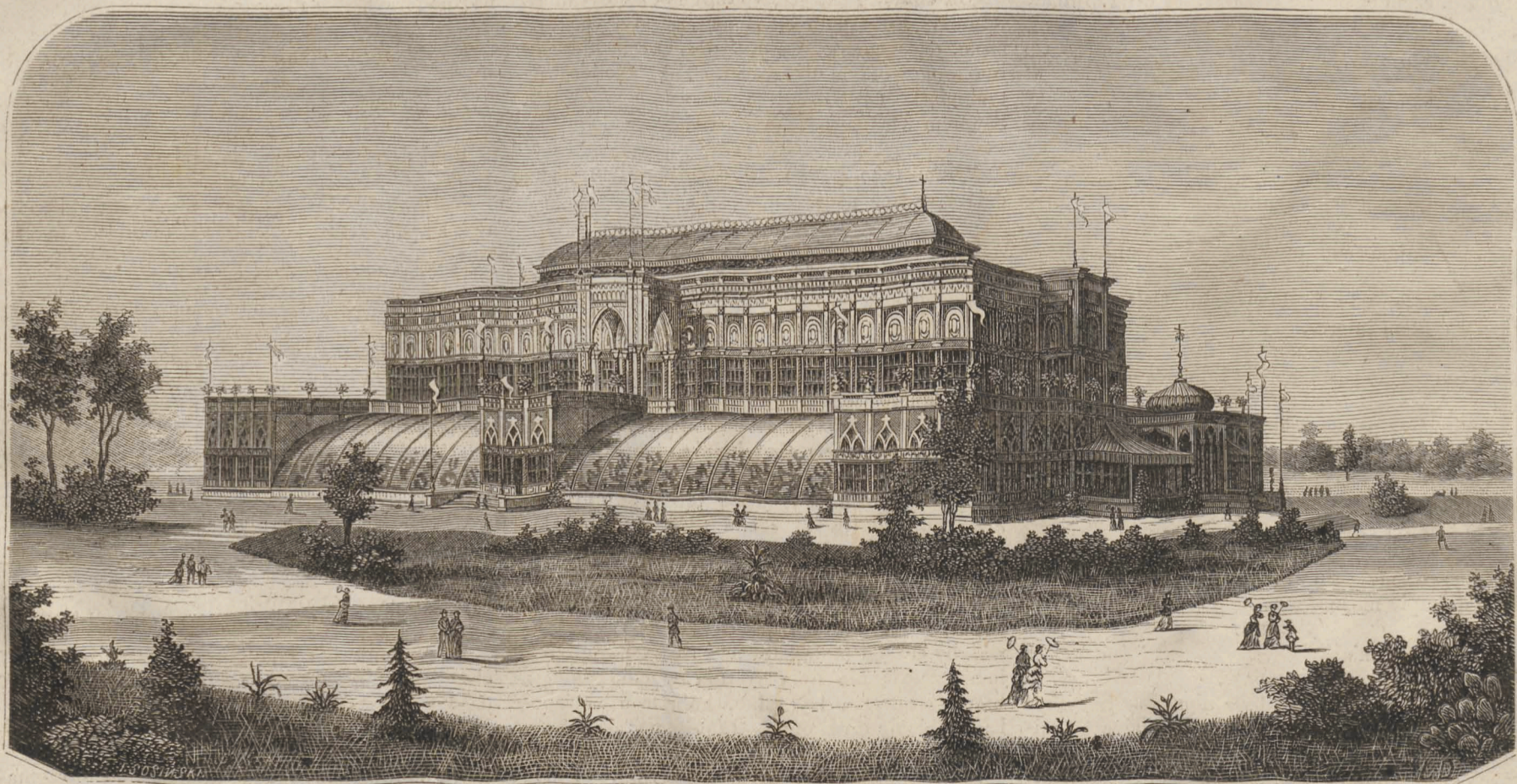


Franciszek Palacki.

173

rój się ci ludzie poświęcili. Mężowie tacy, jak Pelel, Kramerius, Prochazka, Nejedli i t. d., niby ostatni obrońcy zdobywanej warowni, biegli na wyłom, by na padających murach położyć głowy.

znau augsburskiego lub helweckiego. Palaccy przystąpili do pierwszego, i ojciec Franciszka piastował urząd ewangelickiego nauczyciela we wsi Hodslawicach. Był to człowiek zacny, wy-



Wystawa powszechna w Filadelfii. Pawilon ogrodnictwa.

174



kształcony (napisał nawet książkę dla młodzieży) i gorący patriota; z domu więc wyniósł Franciszek uczucia, które go ożywiały całe życie, a nadto tradycje rodzinne skierowały jego uwagę na dzieje husytyzmu, na którym to polu miał sobie z czasem zdobyć niespożytą sławę. Lubo Jerzy Palacki był człowiekiem ubogim, jednakże niczego nie szczędził na wychowanie syna i wysłał go do gimnazjum ewangelickiego w Presburgu, gdzie wówczas zasłużony Palkowicz wykładał język i literaturę *czesko-słowenską*. Tu już młodzieniec, obok pilności w nauce, objawiał pociąg do pióra, próbując lotu pisklęcogo, tak jak wszyscy młodzi, w poetycznych utworach i jeszcze jako uczeń gimnazjum (w r. 1817) wydrukował w *Videnskych Listech* przekład trzech mniejszych pieśni Ossyana. W następnym roku wyszła bezimiennie książeczka „Początki poezji czeskiej, zwłaszcza prozody,” która ogromnego hałasu narobiła. W pracy tej miał podobno udział i Szafarzyk, a pośrednio nawet Jungman. „Początki” uderzyły śmiało na brak ducha poetyckiego i powszedniość ówczesnej poezji czeskiej, wskazywały poetom wyższe i godniejsze ideały, a widząc przyczynę złego w wiérzowaniu tonicznym, akcentowanym, *jako zbyt łatwem, a wabiącym przez to niejednego niepowołanego do poetyckich zapasów*, proponowały zaprowadzenie wiérzowania miarowego, które możliwem jest w języku czeskim, gdyż ten, podobnie jak starożytny języki, iloczasi posiada. Starszyzna literacka oburzyła się na surowy ów sąd, a zwłaszcza gniewał się Sebestyan Hniewkowski, naówczas rej na Parnasie wiodący; ale chociaż propozycja co do miarowej formy wiérza nie przyjęła się, we wszczętej z tego powodu polemice młodzi reformatorowie górę otrzymali.

Roku 1818 Palacki skończył gimnazjum presburskie, a otrzymawszy miejsce nauczyciela domowego u pewnego szlachcica węgierskiego, razem z wychowancami swymi udał się do Wiednia, gdzie nie tylko pracował nad ich kształceniem, ale jeszcze sam chodził na uniwersytet, zwłaszcza na filozofię i estetykę. Postępy w tej ostatniej robił znaczne, a gdy w r. 1821 znany przyrodnik i uprawiacz języka Presl zaczął wydawać czasopismo *Krok*, Palacki umieszczał w niem rozprawki i artykuły estetyczne, które, przy treści swój, celowały językiem pięknym, jędrnym i czystym, rzadkim na owe czasy. Artykuły owe wyrobiły mu takie imię w szczupłym gronie literatów ojczystych, że gdy w r. 1823 przybył na mieszkanie do Pragi, powitano go serdecznie i uroczyście. Na cześć nowego pracownika niwy czeskiej urządzono mały koncert narodowy, na którym odśpiewano nawet kantatę, umyślnie na ten cel przez poetę Winarzyckiego ułożoną.

Palacki przybywał do Pragi z mocnym postanowieniem oddania się studjom nad dziejami ojczystymi, ale bez kawałka chleba; przyjaciele więc szukali dla niego odpowiedniego miejsca i po długim staraniu znaleźli mu posadę archiwisty u Franciszka hrabiego Sztternberka, jednego z tych nielicznych panów, co szczerze sprawę narodową popiérali. Stanowisko to odpowiadało pragnieniom młodzieńca, bo dało mu możność pracowania w bogatym archiwum starożytnego rodu, i od tego to czasu Palacki poświęcił się całą duszą zadaniu, które wykonał w tak świetny i chlubny sposób.

Palacki do dzieła przystępował z tém przekonaniem, że dotychczasowe źródła dziejowe, na jakich opierali się poprzednicy jego, a między innymi Dobner i Pelcel, nie wystarczają, że niedość, tak jak oni, czerpać z ogłoszonych już drukiem kronik, ale trzeba jeszcze poruszyć skarby, ukryte po archiwach i księgozbiorach miejskich i prywatnych, niedrukowane kroniki, dokumenta, zabytki literackie, listy osób w historii rolę grających i t. d. W tym celu Palacki sam przetrząsał archiwa i biblioteki po całym kraju, dobywając z pyłu zapomnienia tysiące świadectw i śladów przeszłości, nieraz nowe i ciekawe fakta odsłaniających. Owocem tych badań, oprócz materyałów, do głównej pracy kłopotliwie zbieranych, były wyborne rozprawki i artykuły dziejowe,

które dały niejako przedsmak przyszłego dzieła, a zwróciły na autora powszechną uwagę, tak iż Stany królestwa czeskiego, zebrane na sejm r. 1828, mianowały go *dziejopisarzem krajowym*. Nowy ten urząd, dając Palackiemu pewne środki materyalne, skłonił go do rozwinięcia swych badań w większych rozmiarach i do poszukiwań źródłowych po za granicami kraju. Przyszły twórca *Dziejów czeskich* odbywał liczne podróże, a w Wiedniu, Monachium, Dreźnie, Berlinie, Frankfurcie, Bazylei i Rzymie wiele czasu strawił w miejscowych archiwach, dobywając wszystko, co do historii ojczystej odnosi się mogło. Takie prace i poważne przygotowania kazały się spodziewać, że owocem ich będzie dzieło wielkie i pomnikowe, tém więcęj, iż w pracach przygotowawczych już przebijało znakomite opanowanie przedmiotu i wysokie zdolności dziejopisarskie. Taką była między innymi praca premiowana w r. 1830 przez Towarzystwo naukowe w Pradze p. t. „Ocena starych dziejopisarzy czeskich” (*Würdigung der alten böhmischen Geschichtschreiber*), jedyna wprawdzie na konkurs przysłana, ale nietylko odpowiadająca żądaniom, ale nawet oczekiwania sędziów przechodząca.

Po trzynastoletnich przygotowaniach, Palacki wydał wreszcie w r. 1836 pierwszy tom *Dziejów czeskich* po niemiecku (*Geschichte von Böhmen*), stosując się pod tym względem do życzenia Stanów królestwa czeskiego. Ziomkowie przyjęli dzieło z uniesieniem, a głosy uznania i pochwały odzywały się ze wszech stron; w Niemczech jednak wielkie obudziło ono niezadowolenie. Lubo głównym znamieniem naszego dziejopisarza były zawsze wielka powaga i umiarkowanie w sądach, pycha germańska nie mogła mu darować, że podniósł wiele dodatnich stron swego narodu, istnienia których przyznać nie chciano, że ośmielił się mówić o narodowej kulturze czeskiej, o pomnikach poezji ludowej, o łagodnych, ludzkich, szlachetnych nieraz obyczajach starosłowiańskich, o instytucjach, w których pod pewnymi względami wyprzedzili Słowianie inne ludy, do przodownictwa w cywilizacji prawo sobie roszcujące. „Z dumą—mówi Palacki—potomkowie zobaczą, że to, za czem największe i najwyższe kształcenie narody nie zawsze szczęśliwie się uganiają, przodkowie słowiańscy pielęgnowali u siebie: powszechną wolność mieszkańców kraju, równość wobec prawa, najwyższą władzę dziedziczną, a zarazem wybieralną, odpowiedzialną przed sejmem, wolny wybór urzędów miejscowych oraz przedstawicieli narodu, i tym podobne instytucje, a nadto wychwalaną wszystkich swobód obywatelskich rękojmię—sądy przysięgłych.” Takie stanowisko autora musiało być solą w oku tym, co trwali w przesądzie, że jedynie germanizm Czechów z barbarzyństwa słowiańskiego na drogę cywilizacji wyprowadził i bynajmniej w błędzie swym przekonaniymi być nie pragnęli. Im dalej postępowało dzieło Palackiego, tém większy budziło zapał i podziwienie, a zarazem krzyki szowinizmu germańskiego. Gdy Palacki doszedł do Ottokara II i Karola IV i podnosił ich wielką działalność polityczną, popiérając sądy swe silnymi dowodami, oburzenie wzrosło do najwyższego stopnia, gdyż obaj ci monarchowie zawsze złej opinii u historyków niemieckich używali. Ale największe podziwienie obudził tom III *Dziejów*, obejmujący historię husytyzmu, obrobioną z niesłychaną starannością i artyzmem. Tu Palacki stanął na tak wysokim stopniu wstrzemięźliwości i bezstronności dziejopisarskiej, jakiej nikt nie byłby się spodziewał od dziecka rodu, w tradycjach husyckich wychowanego (1). W dziejach tych, które budzą zapał patriotów czeskich i kuszają do retorycznych tyrad lub najazdów na inne pola, Palacki kroczy ze spokojem olimpijskim, rozplątując zawikłany wątek faktów i roztaczając

go w opowieści jasnej, przejrzystej, a niesłychanie zajmującej, pomimo że autor nie stara się bynajmniej o ów powab opowiadania, który z dzisiejszych dzieł historycznych robi prawie romanse—owszem, Palacki ma styl ciężki prawie, ale poważny, głęboki i nadwyzczaj dokładnie a wyraziście rzecz malujący. Dzieje husyckie wyszły w r. 1850 już w języku czeskim i odtąd autor w tym języku pracę swoją prowadził, dając ją do tłumaczenia na język niemiecki, czego podjął się Józef Wenzig, z nany z czeskich i niemieckich utworów. Przedtém jeszcze wyszła w r. 1848 część pierwsza tomu I w języku czeskim, będąca nowym opracowaniem dzieła niemieckiego, gdyż autor to ostatnie jedynie za przygotowanie do pracy czeskiej poczytywał.

Całe dzieło Palackiego obejmuje 4 tomy w 8 częściach i kończy się na śmierci pod Mohaczem Ludwika Jagiellończyka. Ostatnia ta część (2-a część tomu V) wyszła w r. 1867. W opracowaniu czeskim brak drugiego tomu, zawierającego wypadki od r. 1253 do 1403, dzieje Czech królewskich z organizacją feudalną; opracowanie to bowiem Palacki odłożył na później, śpiesząc do ponętniejszych i ważniejszych wypadków husyckich, dziejów Jerzego Podiebradzkiego i obu Jagiellończyków. Dalsze prowadzenie *Dziejów* sejm powierzył profesorowi uniwersytetu dr. Antoniemu Gindely, który licznymi pracami na polu późniejszych dziejów, jako to *Historię braci czeskich*, *Historię powstania czeskiego w r. 1618*, *Wojny trzydziestoletniej*, monografiami o Rudolfe II i Albercie z Waldsztynu (*Wallensteinie*) dowiódł, iż stoi najzupełniej na wysokości swego zaszczytowego zadania.

Aczkolwiek wielkie dzieło historii czeskiej głównie zajmowało Palackiego, gorliwy ten pisarz nie ograniczał się wyłącznie na tej pracy, ale działał wszędzie, gdzie można było przynieść pożytek sprawie narodowej. W Muzeum czeskim, będącym naówczas paladium i jedynym prawie schronieniem nauki czeskiej, rozwijał niesłychaną czynność, która w dziejach tej instytucji na przednim miejscu zapisaną została. Za jego to podjętą postanowiono wydawać czasopismo Muzeum, w dwóch językach, czeskim i niemieckim, w czeskim co kwartał, w niemieckim co miesiąc. Czasopismo to miało być składem wszystkiego, co się tyczyło nauki ojczystej we wszelkich gałęziach wiedzy, redakcją zaś powierzono Palackiemu. Lubo część niemiecka nader starannie była prowadzoną (stary Göthe z wielką odezwał się o niej pochwałą), nie cieszyła się ona poparciem; z miesięcznika zeszyła wkrótce na kwartalnik, a po kilku latach całkiem upadła. Świat niemiecki tak mało interesował się uczonością słowiańską, iż za granicę zaledwie sześć egzemplarzy odchodziło. Zato część czeska rozwijała się bardzo szczęśliwie; w łamach *Muzejnika* (jak czasopismo popularnie nazywano) umieszczali swoje prace wszyscy uczeni i znakomitsi pisarze czescy, jak Szafarzyk, Szembera, Czelakowski, Winarzycki, Marek i t. d. Samego Palackiego znajdujemy bardzo wiele artykułów; są one niby kamieniami, które do budowy wielkiego swego dzieła nagromadzał. Jedenaście lat prowadził Palacki redakcją czasopisma, aż w r. 1838 oddał ją w ręce sławnego Szafarzyka, nie przestając wszakże zawsze zasilać go różnymi artykułami. Czasopismo Muzeum miało ogromne dla literatury czeskiej znaczenie—ono wprowadziło ją na wyższy stopień, dawszy podstawę naukowemu piśmiennictwu w języku narodowym, przed niem bowiem panował kierunek taki, jak w przeszłym stuleciu, w początkach odrodzenia: poezya i książki popularne posługiwały się mową czeską, lecz naukowe prace, szukając szerszego rozgłosu, uciekały się do niemieczyny. Muzejnik więc pod tym względem sprowadził nowy zwrot dla języka czeskiego. W tym kierunku zrobił on bardzo wiele; opierając się na podstawie języka z czasów tak zwanego złotego wieku (w pierwszej połowie XVI st.), kształcił go, rozwijał, bogacąc mnóstwem nowych słów, tworzonych nie dowolnie, tak jak to u nas często bywało, ale na zasadach ściśle lingwistycznych. Zasługę tę dzieli Palacki wraz

(1) Pomimo tej rzadkiej bezstronności, przez katolików samych ocenianej, Palacki zmuszony był do prowadzenia polemiki z prof. uniwersytetu, dr. Höflerem, który gwałtownie nań napadał, że jako protestant, dzieje husytyzmu stronniczo, z pokrzywdzeniem prawdy historycznej, przedstawił. Palacki dowody swe sformułował w dziele . pt *Die Geschichte des Hussitentums und Professor Höfler* (1868 r.).

z innymi, głównie jednak z Jungmannem i Preslem. Na tym polu mieli oni wiele do zwalzenia, gdyż nigdzie nie znajdzie tylu niepowołanych kształcicieli i reformatorów, jak w kwestjach językowych, zwłaszcza gdy, tak jak u Czechów, po latach upadku i zanieczyszczenia, nastaje popęd do odnowienia i puryfikacji. Palacki bronił zawsze języka literackiego i energicznie wystąpił przeciwko nowatorom na Morawie, gdzie chciano język literacki przykroić w taki sposób, by więcej do narzeczy morawskich się zbliżał. Wystąpienie znakomitego męża obaliło niefortunne próby takich ludzi jak Tonka i Žak—próby, które mogłyby do pewnego separatyzmu doprowadzić. Mniej szczęśliwym był Palacki w walce z separatystami słowackimi, przeciw którym wystąpił wraz z Kollarem, oraz innymi powagami literackimi. Mimo wszelkich dowodzeń, Słowacy oddzielili się i narzecze swoje na stopniu osobnego literackiego języka postawili. Gdy ze strony Niemców wszczęła się zacięta walka przeciw autentyczności rękopisów zielonogórskiego (Sądu Lubuszy) i królowodworskiego, Palacki wraz z Szafarzykiem ukazał się w szrankach z dziełem *Die ältesten Denkmäler der bohmischen Sprache*, (1842 r.) broniąc tych skarbów literatury. W tym duchu były także jego artykuły o Rękopisie królowodworskim, pomieszczone w *Wiener Jahrbuecher*.

Działalność Palackiego była ogromna, zadziwiająca, jeśli weźmiemy pod uwagę specjalne jego zajęcia; myślał o wszystkim co tylko na rozwój Muzeum i na zwiększenie pożytków jego wpłynąć mogło. Wraz z Jungmannem i Preslem przeprowadził w r. 1830 założenie Matycy czeskiej, kasy na wydawnictwo dzieł uczonych i pożytecznych. Uczeń mieli przytę do zwalzenia wiele ze strony władzy przeszkód i tylko umiejętnym rokowaniem Palackiego zawdzięczać należy, że Matycy nareszcie weszła w życie. Instytucji tej jedynie winniśmy, że wielkie dzieła uczoności czeskiej, jak Słownik czeski Jungmanna, tegoż Historia literatury, Starożytności Szafarzyka nie zbutwiały w rękopisach, gdyż w ówczesnych okolicznościach żadne wydawnictwo prywatne nie podjęłoby się drukowania tak kosztownych, a jak się zdawało mało pokupnych książek. Zakładając Matycę, Palacki z towarzyszącymi marzyli o wydaniu wielkiej Encyklopedyi i już próbki jej ukazały się w r. 1833 w Czasopiśmie Muzeum; ale ani Palacki, ani Jungmann, ani też Presl nie mieli czasu na tak olbrzymie przedsięwzięcie. Sprawa ciągle szła w odwłokę, aż dopiero w 1858 myśl tyloletnia Palackiego urzeczywistniona została pod kierunkiem zięcia jego, Riegera, w cenionym powszechnie *Słowniku Naukowym*.

(Dokończenie nastąpi).

## KORRESPONDENCA TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO.

Kraków, w początku lipca.

W ubiegłym tygodniu obchodził Kraków jedną z najulubieńszych swoich ludowych uroczystości, wianki, wskrzeszone przez nowoutworzone Towarzystwo muzyczne i kilku tamtejszych artystów-malarzy; na nieodzowne koszty rozpisanego drobne składki i tym sposobem wianki mogły się pokazać w tym roku z dawniejszą, a nawet i większą jeszcze okazałością.

Tymczasem, aby się rzucić na łono natury, przeciąga przez Kraków mnóstwo turystów i gości kąpielowych. W tym roku, z powodu spóźnionego lata, przejazd ten odbywa się cokolwiek później niż zwykle, ale zwłoka ta zostanie sownie wynagrodzoną, bo sądząc z liczby podróżnych, przejeżdżających przez Kraków, gości letnich nie zabraknie ani naszym zdrojowiskom, ani górcom...

Wspomniałszy o górach, nadmienić muszę że Towarzystwo tatrzańskie krząta się koło nich nie na żarty, aby podróżnym na wygodzie i środkach zaspakajania ciekawości nie zabrakło. W ostatnich dniach przeszłego jeszcze miesiąca odbyło

się walne doroczne posiedzenie tego Towarzystwa, a sprawozdanie złożone przez prezesa, hr. Mieczysława Reja, dostatecznie przekonywa, że wydział zarządzający pokazał wiele energii w rozmaitych kierunkach. Towarzystwo wybudowało w górnej krainie kosodrzewiny schronisko pod krzyżem i altanę w dolinie koscieliskiej, ponaprawiało w kilku miejscach drogi i ścieżki, zakupiło 12 latarni do Zakopanego i t. p. Chwalebne cele Towarzystwa i dobrymi skutkami uwieńczona gorliwość zjednały mu też list pochwalny, który Towarzystwo w r. b. otrzymało od kongresu geograficznego w Paryżu, a z drugiej strony zasiłek w kwocie 400 zlr., zapewniony mu przez sejm galicyjski na przeciąg trzech lat. Towarzystwo liczy obecnie 649 członków, a majątek jego wynosi 3170 zlr. Na posiedzeniu walnym wystawione były także na widok członków Towarzystwa rzeźby wykonane przez górala Macieja Mardulę, kształconego i utrzymywanego kosztem Towarzystwa. Marduła uczył się przez sześć miesięcy u tutejszego rzeźbiarza p. Wyspiańskiego, a roboty jego, jak na przykład N. Panna, znajdująca się obecnie na wystawie sztuk pięknych, bardzo dobrze świadczą o jego zdolnościach i szybkim postępie. W przeszłym jeszcze roku pisałem wam, że Towarzystwo tatrzańskie miało myśl popierania nauki snycerstwa między mieszkańcami Tatr, co obok innych korzyści, mogłoby się także znakomicie przyczynić do rozbudzenia w tamtych stronach przemysłu i podniesienia dobrobytu. Znalazłszy teraz w Mardule zdolnego snycerza, Towarzystwo ma zamiar starać się wszelkimi siłami o założenie szkoły snycerskiej w Tatrach, co niezaprzeczenie należeć będzie do najlepszych i najchwalebniejszych jego czynności.

Towarzystwo wydało właśnie w tych dniach pierwszy swój „Pamiętnik“ na r. 1876. Do komitetu redakcyjnego tego wydawnictwa należą pp. prof. Alt, Anczyca, dr. Lutostański i prof. Nowicki. Pamiętnik w części swęj literackiej zawiera kilka sonetów Asnyka p. t. „Morskie oko“, wiersz Anczyca „W Tatry!“ i kilka rozpraw naukowych, wyłącznie do Tatr i ich mieszkańców się odnoszących, jak: „Rzeźba Tatr“ (O zwierzętach w Tatrach mieszkających) prof. Nowickiego, „Przyczynki do klimatologii Tatr“ p. Wierzbickiego, „Życie pasterskie w Tatrach“ p. ks. Sutora, „Wycieczka na szczyt Gerlachu“ ks. Stolarczyka, „Bibliografia karpacza“ p. Müldnera i t. d.

Kilka innych książek wyszło jeszcze w ostatnich czasach z drukarni krakowskich. Józef Szujski wydał pamiętnik księcia Eustachego Sanguszki, z czasów między r. 1786 a 1815. Pamiętnik ten, pisany przez autora dla jego dzieci, z założenia już samego ma więcej niżeli historyczne, znaczenie etyczne. Ks. Sanguszko dotyka wprawdzie wydarzeń dziejowych, których był świadkiem, lub do których sam należał; ale przedstawienie ich ma u niego rolę tylko drugorzędną, opisuje je dlatego, aby, jak się wyraża, „przerwać temi wypadkami jednostajność suchego morału.“ Z tym wszystkim, w książce tej bardzo dobrze się odzwierciedla może trochę słaby, ale w gruncie rzetelny i szczerzy charakter autora.

Profesor Nowicki wydał bardzo pożyteczną i może jedyną dotąd w naszym języku „Zoologią obrazową dla szkół średnich.“ Książka ta opatrzona jest 426 rycinami. Rozpoczęte także zostało niedawno ważne i pochwały godne wydawnictwo: „Biblioteka przedruków“, które bodaj znalazło należyte poparcie u publiczności naszej, zwykle dość obojętnej na podobne rzeczy. Biblioteka ta, mająca obejmować przedruki dawnych rzadkości bibliograficznych, wychodzi nakładem p. Friedleina, a staraniem dr. Wł. Wisłockiego, znanego już z niejednej ważnej pracy na polu szczególnie bibliograficznem. Dotychczas wyszły dwie książeczki, mieszczące w sobie Glicznera Erazma „Książki o wychowaniu dzieci“ (rzecz nadzwyczaj rzadka) i Zimorowicza „Hymny do N. Panny.“

Pośrednio przynajmniej do historii literatury polskiej należy także rozprawa dra Zygmunta Węclewskiego, niedawno tutaj wydana, p. t. „Wiadomości o życiu i pismach Gotfr. Ern.

Grodka.“ Nakoniec, chociaż nakładem spółki wydawniczej warszawskich księgarzy, w tutejszej jednak drukarni Anczyca wyszła pierwsza z szeregu historycznych powieści Kraszewskiego: *Stara Baśń* w trzech tomach. Ostatnia ta praca nieustrudzonego pisarza osnuta jest na tle historycznym walki słowiańskich kmieciów z księciem Popielem, wistocie jednej z najdramatyczniejszych chwil naszej przeszłości.

Dramat Anczyca, nagrodzony na ostatnim konkursie krakowskim, w ciągu ubiegłego miesiąca ukazał się na deskach scenicznych. „Emigracja chłopska“ jest niewątpliwie najlepszym z utworów dramatycznych tego pisarza. Główną jego zaletę stanowi dokładna znajomość ludu i jego obyczajów, której p. Anczyca tyle już złożył dowodów, i co za tym idzie, wyborna, prawdą swą i trafnością pociągająca charakterystyka. „Emigracja chłopska“ odegrana została z wielką starannością przez członków tutejszej sceny, którzy zdolnością swą i werwą dzielnie autora wspomagali.

Na sztuce tej zakończyły się przedstawienia w teatrze zimowym, i w połowie czerwca otwarty został teatr letni, inaugurowany „Ślubami panienskiemi“, i odtąd cztery razy na tydzień, podobnie jak w teatrze zimowym, odbywają się w nim przedstawienia bez przerwy, gdyż letni budynek dostatecznie przeciw dżdżowici jest zabezpieczony.

Jeden z najcenniejszych naszych zabytków dawnej sztuki, róg górników wielickich, z czasów Zygmunta I pochodzący, został odszukany. Tygodnik „wasz“ podał niedawno wizerunek tego rogu, ze szczegółowym opisem i wzmianką o jego zaginięciu. Obecnie szczęśliwym wypadkiem róg rzeczony znalazł się w zbiorze Rothschilda, który zeznał że kupił go w handlu starożytności p. Picka w Wiedniu, a ten znów miał go nabyć od kogoś z Galicyi. Obecnie rzeczy stoją na tym stopniu, że młody człowiek z Wieliczki, oskarżony o kradzież rogu wielickiego, jest już aresztowany przez tutejszy sąd krajowy i śledztwo z niego rozpoczęto. Proces odbędzie się w Krakowie i zapewne pp. Pick i Rothschild zostaną tu wezwani; będzie to zatem sprawa z wielu względów bardzo ciekawa.

Akademia umiejętności otrzymać ma niezadługo bogaty zbiór starożytności peruwiańskich, darowany jej przez p. Władysława Klugera, Krakowianina, który od niedawnego czasu jako inżynier przebywa w południowej Ameryce, a świeżo otrzymał katedrę w politechnice w Limie. Według listu, przez p. Klugera do Akademii pisanego, zbiór ten starożytności, będący już w drodze, składa się z kilku mumij, z naczyń, sprzętów, figurek metalowych i wielu innych podobnych przedmiotów. Mumie wykopane zostały ze starego cmentarzyska Indyan w Ancon, pod dozorem i w obecności p. Klugera, autentyczność ich zatem nie podpada żadnej wątpliwości.

Na wystawie sztuk pięknych, oprócz ślicznego portretu dra Dietla, malowanego przez Andrzeja Grabowskiego, kilka nowych obrazów zwraca na siebie uwagę publiczną. Z wyjątkiem Kossaka, pochodzą one od malarzy niezbyt dawno na widowni publicznej występujących. Kossaka mamy trzy świeże prace: Książę Sanguszko w stroju wojskowym, Prymas Lubieński zbierający wota przy elekcji Jana Kaźmirza pod Wolą i charakterystyczny bardzo obrazek p. t. Epizod z pod Samo-Sierry. Wszystkie trzy są robotami akwarelowymi i, jak się łatwo domyślicie, na wszystkich trzech dominują konie, ulubiony, ale też i nigdy nie starzejący się pod pendzlem tego artysty przedmiot. Pana Benedyktowicza są dwa średnich rozmiarów płótna, z których, pomimo bardzo ładnie namalowanego lasku brzoźowego, służącego za tło obrazu „Przy śpiewie słowika“, powszechnie więcej podoba się jego „Lato“, obrazek sielski nadzwyczaj prosty, ale mający w sobie dużo charakteru i naturalności. Pana Pruszkowskiego nowe dwa utwory potwierdzają dobre mniemanie, jakie wzbudzał o swoim talencie dawniejszymi pracami. Młodego tego artystę cechuje szczególnie poetyczność, dar bardzo cenny, który widocz-

ny już był w jego „Piaście,” podinnemi względami może chybnym. Taką poetyczno-fantazyjną barwę ma też obraz jego „Modlitwa,” którego treścią jest wiejska kobieta, modląca się pod krzyżem w czasie wiosennej księżycowej nocy. Inny charakter ma drugi jego, rodzajowy obraz: „Kiedy ranne wstają zorze”—grupa wiejskich pastuchów, którzy zerwawszy się z pierwszym braskiem ze snu, wznoszą głosy swe w niebiosy. Wiele wyrazu jest w tych prostych fizyognomiach; wyczytać z nich można całą duszę tych wiejskich śpiewaków, pochwyconą bardzo szczęśliwie przez artystę. Do téjże saméj wreszcie kategorii udanych utworów policzyć trzeba obraz p. Szernera: „Popas przed karczmą.” Jest w nim wiele ruchu i dosadna charakterystyka.

Tak więc i z naszéj także wystawy widać, że malarstwo polskie coraz więcej rośnie i rozszerza się. Nic też dziwnego, że wobec tego stanu rzeczy myślą u nas o stałym pomieszczeniu dla szkoły sztuk pięknych, to jest o wybudowaniu dla niéj osobnego budynku, jakiego dotąd nie posiada. Wskutek wniosku zrobionego przez tutejszego adwokata i posła p. Rydzowskiego, sejm krajowy przychylił się do téj myśli w ten sposób, że obowiązuje się płacić gminie krakowskéj przez lat 33 po 7 tysięcy złr. rocznie na umorzenie kosztów budowy, jeżeli gmina wystawi dla szkoły sztuk pięknych budynek, w wartości najmnij stu tysięcy reńskich. Niéma wątpliwości, że Rada miejska, której właśnie tę propozycję sejmu oddano do rozważenia, przyjmie ją bezwarunkowo, a w takim razie gmach ten stanąłby na Kleparzu, na placu obszernym, z ładnym widokiem na obok leżące plantacje i bramę Floryańską. Słychać już także, iż zrobienie planów na ten budynek ma być powierzone p. Zarębie, należącemu od niedawna do komitetu budowniczego przy restauracji Sukiennic, do których, mówiąc nawiasem, w ostatnich dniach zabrano się na wszystkich punktach i jak się zdaje już na dobre. W dawniej wygotowanych planach restauracji Sukiennic ma zajść ta zmiana, że podświetlenie, jakoteż podpiérająca je kolumnada, będą zmniejszone, a przez to sklepy dolne otrzymają więcej światła.

Tutejszy Instytut techniczny z końcem bieżącego roku szkolnego zostaje stanowczo zwinięty, a na jego miejsce utworzona wyższa szkoła przemysłowa, jak to już dawniej było zapowiedziane. Nowa ta szkoła jednak nie będzie posiadała oddziału technicznego, ani kursu handlowego, obu bardzo potrzebnych dla tutejszych stosunków i o które miasto rozmaitemi drogami, ale jak się pokazuje naprózno, u rządu się starało.

W drugiéj połowie ubiegłego miesiąca bawił tu jakiś czas minister rolnictwa, hr. Colloredo-Mansfeld, przybyły do Galicyi, w celu zbadania stosunków rolniczych i gospodarskich. Zwiędziwszy tutejsze zakłady naukowe, udał się do Czernichowa, gdzie istnieje znana szkoła agronomiczna, następnie do Niepołomic, gdzie są lasy rządowe, i do Wieliczki, a ztamtąd dalej do Galicyi. Podobno widok tutejszego kraju i stanu rolnictwa zrobiły na ministrze bardzo dobre wrażenie.

## Przegląd piśmienniczy.

Historia Starożytna, ułożona przez Tadeusza Korzonia. Warszawa, 1876 roku.

Nietajno to dziś nikomu, że do nauki historii powszechnej nie mieliśmy i nie mamy dobrych podręczników. Historia Zdanowicza, przeróbki i tłumaczenia Dziekońskiego, Rogalskiego, przekłady dzieł niemieckich Pütza, Weltera (dla doroslejszych Webera, Duruy, Cantu) i t. d.—wszystkie te prace, obok wielkich zalet, grzeszą pominięciem lub lekceważeniem względów pedagogicznych, kierunkiem jednostronnym, jak na przykład niemieckim w przekładach z niemieckiego; dalej nieproporcjonalnym doбором i rozmieszczeniem obfitego materiału historycznego i pewnym wahaniem się pomiędzy metodą etnograficzną, a synchronistyczną, pomiędzy dawną, że tak po-

wiem kalendarzową rutyną, a historycznym pragmatyzmem. Nadto w tych i podobnych podręcznikach albo poświęcano przyjemne dla pożytecznego, albo odwrotnie. Autor rzadko mógł oprzeć się pokusom żywiołu anegdotycznego, który przeważnie bawi, albo znowu wpadał w pedantyczną suchość i rozszerzał się o rzeczach, niebardzo pojęciu młodocianemu dostępnych.

Historia starożytna, pomimo to że stanowi całość niejako skończoną i oddzielną, pomimo nadzwyczaj dogodnego dla pedagoga zbiegu wypadków i stron życiowych, zarówno bawiących, jak uczących, wskutek czego dzieje świata starożytnego mają bez zaprzeczenia wartość pedagogiczną nieskończenie wyższą od historii nowożytnej lub średniowiecznej—pomimo to wszystko jednak historia starożytna była u nas traktowana po macoszemu. W braku samodzielnych badań na téj niwie, przyjmowaliśmy bez wyboru i tłumaczyliśmy dzieła, nieodpowiadające najnowszym pojęciom o historii, jako nauce, i niezbogaczone wynikami ostatnich badań. Ten ostatni zarzut ściągają się głównie do historii starożytnego Wschodu: wyniki ostatnich badań Layarda, Lepsius i innych, opierających się na pomnikach Asyrii i Babilonu, dzieła Lenormanda, Rawlinsona, Beulé, Gobineau, Buscha i innych, przedstawiające zupełnie w odmiennéj postaci historię pierwszych państw azyatyckich—to wszystko pozostawało i pozostaje dla nas dotychczas nieznaném. Po staremu dawano nam baśnie o Sezostrysach, Semiramidach, Sardanapalach i innych osobistościach bajecznych; po dawnemu powtarzano chaotyczne wiadomości o rozpadaniu się, łączeniu, wskrzeszaniu państw asyryjsko-babilońskich—wiadomości, które jeszcze w szkołach nie mogły nam jakoś pomieścić się w głowie; karmiono nas wadliwą chronologią i splątaném następstwem Faraonów według Herodota; powtarzano greckie bajki o Cyrusie i t. d., jakby nie wiedząc o wynikach najnowszych lingwistycznych i archeologicznych badań, które nadały historii starożytnej zupełnie inną postać niż ta, jaką miała przed 30 laty. Oczywiście i dziś jeszcze nie wszystko w dziejach zamierzeń przeszłości zostało wyjaśnioném przez europejskich uczonych; i teraz jeszcze wiele jest wątpliwości, braków i przerw nieznanymi wypełnionych wypadkami; i teraz jeszcze ciągle badania postępują i doskonalą się, odkrycia mnożą się, bogacąc historię nowemi wiadomościami, lub dawne prostując; zawsze jednak to co już mamy w tym przedmiocie, to co zostało ustaloném, wnosi radykalny przewrót do historii starożytnej, w dotychczasowej jéj znanéj u nas postaci. Tak więc wówczas gdy historia Grecyi, a szczególniej Rzymu, wypadła we wszystkich niemal znanych u nas dziełach najbardziej zadowalająco, zato dzieje Egiptu, państw Mezopotamii i Iranu potrzebowałyby zupełnego przerobienia. P. Korzonowi należy się zasługa, że już przedtem (w Bibliotece Warszawskiej) oznajmiał publiczność z nowszemi wynikami badań nad historią Wschodu; obecnie tenże autor występuje z całkowitym i systematycznym podręcznikiem, godnym jaknajwiększej uwagi.

Całe dzieło składa się z trzech części (Wschód, Grecya, Rzym), a pojedyncze rozdziały, opowiedziane stylem potocznej, popularnej pogadanki, przy końcu opatrzone są krótkim, lecz systematycznym streszczeniem. Autor radzi odczytywać z uczniami rozdziały, a treść systematyczną zadawać do nauczenia się na pamięć; następnie zaś powtarzać w krótkości cały dział, posilkując się dołączonymi do książki mapkami i tablicami synchronistycznymi. Wyjaśniając tę swoją metodę w przedmowie, pan K. zwraca uwagę na największą trudność w wykładzie historii, wynikającą z mnóstwa pojęć skomplikowanych, takich jak rząd, szkoły i prawodawstwo i t. d., lecz mniema że o tém wszystkiém można już mówić dzieciom w wieku lat 12—13, dla których, jako dla „doroślejszych,” przeznacza swoją książkę. Autor powiada się nadto przeciwko karmieniu dzieci samymi biografiami i anegdotami. Wszystko to prawda, ale z drugiéj strony obstawilibyśmy zawsze przy dwóch kursach historii, z których pierwszy przeważnie zaciekawia, działa na wyobraźnię i u-

czucie, chociaż przytém także i uczy; drugi przemawia więcej do rozumu i opiera się na nabytych już różnemi drogami przez ucznia wiadomościach. Ważnéj roli biografij mężów starożytnych w pierwszym kursie elementarnym zaprzeczyc niepodobna; trudności objęcia, a choćby wytłumaczenia w nim początkującym dzieciom wszystkich pojęć i faz państwowego i umysłowego rozwoju, podobnie nikt nie zaprzeczy. Rozpatrzywszy się nadto w pracy p. K., przekonywamy się, że zawiera ona na 292 stronicach istotnie rzeczy tylko najważniejsze. Tak na przykład jeśli weźmiemy historię Grecyi, o mytologii i religii Greków mamy tu dwie strony (85-86), o wyprawie Argonautów ani jednego słowa, o związku achajskim dwa wiersze, o etolskim zaś ani wzmianki i t. p. Ztąd wnosiśmy, że książka pana K. przeznaczona jest, według naszego rozumienia, dla młodzieży początkującej, to jest do pierwszego, elementarnego kursu historii.

Zwracając się po tych uwagach ogólnych do pojedynczych części dzieła pana K., z przyjemnością musimy zaznaczyć, że pierwszy dział książki—dzieje azyatyckiego Wschodu i Egiptu—nie prawie nie pozostawia do życzenia. Godną uznania nowością jest początkowy rozdział o ludziach przedhistorycznych, z okresu kamiennego i bronzowego. Zdaje się nam tylko, że niedość jasno autor dał do zrozumienia, iż niewszyscy ludzie jednocześnie przechodzili te rozmaite fazy. Wiadomo na przykład że niektóre ludy Oceanii nie wyszły jeszcze dotąd z okresu kamiennego i że w przypuszczalnéj epoce wojny trojańskiej w Grecyi trwał jeszcze okres bronzu, gdy Fenicyanie i inne ludy azyatyckie niewątpliwie już weszły w epokę żelaza. Na str. 10 autor mógłby wyraźniej powiedzieć, o co wojowali pierwotni ludzie: najnowsze badania wykryły, że walczone wtedy o zwierzyne, o kobiety i z pobudek ludożerczych.

Różnica *plemienia* od *narodu* u autora jest ilościowa: *plemie* ma to być kilka, lub kilkanaście tysięcy ludzi (str. 10), *naród*—kilka lub kilkanaście milionów (str. 14). Okręślenie państwa autor daje takie: „Państwo to nie jest już jedna wieś lub jedno miasto, ale kilkadziesiąt, kilkaset, kilkanaście lub kilkadziesiąt tysięcy wsi i miast i t. d. (str. 13). Wiadomo jednak że w Grecyi i Italii właśnie jedno miasto stanowiło częstokroć i państwo. Rzym pod królami stanowił przecie i naród i państwo, chociaż liczba jego obywateli nie dochodziła nawet ćwierci miliona. Tamże autor odróżnia od państwa *rzeczpospolitą*, która przecie jest także państwem, różniącém się tylko formą rządu. Nakoniec szkoda, że w ustępie o obrzędach pogrzebowych ludzi pierwotnych autor nie wspomiał o puszczaniu zwłok na wodę w łodziach.

Rozdział o Egipcjach skróślony wybornie. Mniemy tylko, że mówiąc o hieroglifach (str. 21), wypadło wspomnieć coś o historii ich odczytywania; mówiąc o Faraonach, należało wyjaśnić znaczenie téj nazwy (od Ra, Fra), a na str. 23 niebardzo trafia do naszego przekonania to, co mówi autor, usprawiedliwiając budowę piramid potrzebą pracowitości, gdyż pożytek téj pracy, przy której ginęły krocie ludzi, był bardzo mały: roboty przedsięwzięte były raczej wskutek pychy i próżności Faraonów, pragnących pozostawić po sobie zdumiewające grobowce.

Rozdziałom o Asyrii i Babilonii trudno coś zarzucić: one to przedewszystkiém celują nowością i świeżością.

W rozdziale o Fenicyanach autor, mówiąc o alfabecie fenickim „lepszym od hieroglificznego pisma” (str. 55), zapomniał powiedzieć słów kilku o początku tego alfabetu—początku także, jak wiadomo, hieroglificznym (alpha od *alef wól*, gdyż A był-to skrócony rysunek wołu—jego głowa z rogami, *bet*—dom i t. p.) Bajkę o Dydonie opowiada autor, jako niewątpliwym faktem historycznym (str. 56). Historia Izraelitów, jako znana z Biblii, opowiedziana w krótkości na 4½ stronicach.

Następnie przechodzi autor do plemion indoeuropejskich, aryjskich, czyli indo-germańskich. W tym rozdziale spodziewaliśmy się znaleźć więcej świeżego materiału, tak ważnego i zajmujące-

go dla nas, potomków pierwotnego szczepu aryjskiego. Studya lingwistyczne i prace w dziedzinie mytologii porównawczej, dokonane przez Boppa, Schleichera, Kuhna, Maksa Müllera i tylu innych, dały już wyniki, składające się na niezmiernie zajmujący obraz życia, urządzeń i obyczajów przodków naszych w Baktryanie, w epoce na 3000—2000 lat przed Chrystusem. Nie znajdujemy jednak u autora tego obrazu, choć mógłby był go wziąć np. z dzieła Adolfa Pictet (Les Origines Indo-Européennes ou Aryas primitifs), albo z podręcznika Lenormand (Manuel de l'histoire ancienne de l'Orient), gdyż niecałej stroniczki o tym przedmiocie (64—65) stanowczo za mało. O Hindusach, około 2 stronice, również niedostateczne. Dotychczas mniemano ogólnie, że im bardziej języki aryjskie oddalone są od sanskrytu, tym wcześniej mówiące temi językami plemiona oddzieliły się od pnia wspólnego, że zatem porządek chronologiczny wędrówek musiał być taki: Celtowie, Greko-Italowie, Germanowie, Słowianie, Hindusi. U pana K. porządek jest taki: Hindusowie, Greko-Italicy, Celtowie, Germanowie i Słowianie. Autor podaje nawet daty—dowolne, a więc spierać się o nie trudno; wszelako epoka przyścia Celtów do Europy (600 lat przed Chr.) i Germanów (200 przed Chr.) niewątpliwie zapóźna. W ostatnich czasach Maks Müller (Ueber die Ergebnisse der Sprachwissenschaft, 1872) poddał wątpliwości powyżej podane, a powszechnie dotąd przyjęte stopniowanie powinowactwa języków aryjskich, a co do ustalenia chronologii wędrówek, zupełnie nawet nie wierzy w jego możliwość. Zresztą że Celtowie musieli przyjść daleko dawniej, niż to podaje autor, można dowody tego przeczytać w Encyklopedyi Paulego (Realencyklopädie der Alterthumswissenschaft, tom III str. 591 i 772). Mniemana data przyścia Germanów do Europy oparł może autor na najdawniejszym świadectwie Rzymian o tym narodzie; pod rokiem bowiem 222 przed Chr. (531 od założenia Rzymu) znajdujemy w rocznikach kapitolńskich (Fasti Capitoloni) wiadomość o zwycięstwie odniesionem pod Klastidyum przez konsulów Marcella i Klaudyusza nad Insubrami i Germanami. Jest-to najdawniejsza wzmianka w historii o Niemcach (Pauly III 773.)

O dziejach Medów i Persów przed Astyagesem i Cyrusem pewnych wiadomości historycznych mamy niewiele; dlatego i u p. K. mało znajdujemy w tym przedmiocie. Szkoda jednak, że autor nie podał nic z opowieści Firdusiego (Szach-Nameh), w której, pomimo płataniny i mytycznych żywiołów, ukrywa się, według zdania uczonych, wiele faktów historycznych z pierwotnych dziejów Iranu.

Panowanie Daryusza i urzędzenia państwa perskiego opowiedziane są treściwie i zajmująco.

Dzieje Grecyi przed Filipem przedstawione są zakrótko (58 stronice). Niektóre opuszczenia w tym dziale wzmiankowaliśmy już powyżej; tu wspomniemy o innych brakach i niedokładnościach, a także o zaletach tej części dzieła. Sam zarys geograficzny Grecyi (2 stronice) wydaje się nam zakrótkim; o pobieżnej, nawet lakonicznej wzmiance o mytologii greckiej mówiliśmy już powyżej; o bóstwach podrzędnych, o życiu zagrobowym i t. d. niema tu nie prawie, a przecież Syreny i Oceanidy, Pan, Muzy, Charon, Styks, pola elizejskie i tyle innych pominiętych przez autora wyobrażeń i mytów są niezbędne w nauce greckiej historii. Afrodyta nazwana opiekunką kobiet zameżnych, chociaż ta rola przysługiwała raczej Herze (str. 85). Treść Iliady zajmuje wprawdzie przeszło stronicę, ale o Odyssei znajdujemy zaledwie kilka wierszy, chociaż w tym poemacie mieści się wiele szczegółów o zburzeniu Troi (nietylko w Eneidzie, jak mówi autor na str. 88). Inne podania wieku bohaterckiego, oprócz kilku słów zaledwie o Tezeuszu i Heraklesie, pominięte. Tu już nie usprawiedliwia autora wzgląd na brak historycznej prawdy w owych podaniach: baśni greckie od tak dawna stały się niejako własnością wszystkich ludów wykształconych, że nie mogą być żadną miarą pominięte, nawet, a raczej zwłaszcza w podręcznikach dla młodzieży.

Dalsze ustępy o Sparcie i Lykurgu, Atenach i Solonie skrócone w dostatecznych rozmiarach i zajmująco; podobnie opowieść o wojnach perskich podług Herodota, najlepszego źródła w tym przedmiocie. Eurybiades i Pauzaniusz (str. 110 i 112) niewłaściwie nazwani królami Sparty, gdyż takowymi nigdy nie byli; nie był też królem Brazidas (str. 127). Wiek Peryklesa przedstawiony bardzo udatnie; tylko że tym mianem nazwano V wiek przed Chr., nie zaś VI, jak u autora (str. 125). Na str. 117 wspomnina się styl joński i doirycki, bez wyjaśnienia co to takiego i czem się te dwa porządki różniły.

Na str. 136 czytamy, że Plato „miał dom z ogrodem, zwany Akademos;“ w rzeczywistości zaś ten dom miał tylko niegdyś należeć do współbajecznego Akademos, znanego z podań o Tezeuszu, Dioskurach i Helenie. Tragedya „Persowie“ nie jest utworem Sofoklesa, lecz Eschylesa (str. 123). W rozdziale o Macedonii autor, mówiąc o śmierci Aleksandra, nie wspomniął o bardzo prawdopodobnym otruciu tego króla przez Antypatra i Kassandra, zaświadczone przez historyka Trogusa Pompejusza (Justyna).

Dział historii rzymskiej celuje pełnością i poręczalnością wykładu: wypadki opowiedziane tu według ich wagi, ani zaobszernie, ani zakrótko. Zrzadka tylko znajdujemy tu rzeczy zbyteczne, bez których można byłoby się obyć, jak na przykład szczegółową tablicę centurij za Serwiusza (str. 174). Tu i owdzie napotykamy nieco niedokładności i pomyłek; na przykład właściwe znaczenie plebejuszów, różnica ich od patrycyatu i prawdziwe znaczenie sporów agrarnych, tak stanowczo wyjaśnione przez Niebuhra, niedość jasno przedstawiają się u pana K. *Picus* nie oznacza *kruka* (str. 167) lecz *dzięcioła*; wilk po sabinśku nie *hircus* (co po łacinie znaczy *kozieł*) lecz *hirpus* (z kąd Hirpini, tamże); tłumaczenie podań o królach, jako alegoryi jest zbytecznym w książce dla młodzieży (str. 169); *dzielnice* Rzymu (*vici, tribus urbanae*) nazwane ulicami (str. 172); różnica zebrań kuryalnych, centuryalnych i trybutowych (*comitia curiata, centuriata, tributa*) niedostatecznie wykazana (str. 172); w dawnych czasach Rzymu nie znano „walk szermierzy podług obyczaju greckiego“ (str. 175); konsulowie nie 10 grudnia rozpoczynali urzędowanie (str. 176), lecz „od 154 roku przed Chr., zawsze od 1 stycznia, przedtem zaś rozmaicie, zwykle z d. 1 marca, albo też w październiku lub sierpniu“ (Lübke Reallexikon des class. Alt. str. 211); formuła prawnicza „adversus hostem aeterna auctoritas,“ nie znaczy bynajmniej „przeciwko wrogowi zawsze niech ma słusność Rzymianin“ (str. 184), lecz ścigała się jedynie do przedawnienia i prawa posiadania w skutek używania (*usus*), które nie przysługiwało cudzoziemcom w sprawach z obywatelami (Cicero De off. I. 12. Aul. Gellius XVII. 7); wątpliwem jest, ażeby *io triumpho* miało znaczyć *idę w tańcu* (str. 204); Cezar zamordowany został nie 9 marca (str. 262), lecz 15go (w idy marcowe); Oktawian nie był siostrzeńcem Cezara (str. 263), lecz wnukiem jego siostry (Suet. Aug. 8) i t. d.

Cenną nowością i bardzo ważnym ulepszeniem pedagogicznem są liczne drzeworycki w tekście, przedstawiające ważniejsze zabytki starożytności, ubiory, zbroje, pomniki i t. d., w ogólności bardzo dobrze wykonane. Nie możemy powiedzieć tego samego o dodanych przy końcu dzieła mapkach, których rozmiar drobnutki i zaledwie dostrzegalne napisy bardzo utrudniają ich użycie. Są w nich nadto i pomyłki: tak np. na mapce I zam. Etolowie, Etolis, czytamy Ajtolowie, Ajtolis (Eolowie, Eolis), a na mapce II Kapadocya policzona do krajów aryjskich, chociaż wiadomo że ludność tego kraju była semicka, spólnego z Syryjczykami pochodzenia; Grecy nazywali też Kapadocyan Syrami i Leukosyrami.

Umieszczona przy końcu tablica synchronistyczna jest bardzo pożyteczna i pracowicie ułożona.

W końcu wypada nam wspomnieć o zachowywanej przez autora ortografii imion własnych: pisze on Alkibiades, Makedonia, Trakia i t. d., to

jest trzymając się, ile możności, brzmienia oryginalnego. W pisowni tej zdrożnego nie widziemy nic wcale: przyjęta ona jest przez wielu uczonych niemieckich, w słownikach i encyklopediach niemieckich powszechnie, a także w niektórych dziełach historycznych. Zawsze jednak nasz język nie jest jeszcze oswojony z podobnemi brzmieniami, które dlatego mogą razić nieprzyjemnie.

Co się tyczy języka i stylu autora, napotykamy znaczną ilość błędów i pomyłek, częstokroć zapewne z pośpiechu pochodzących. Trudno byłoby nam na przykład zgodzić się na takie wyrazy, jak *barbarów, popularów* i t. d.

W ogólności praca p. K. ma wartość niepoślednią i dlatego zastanowiliśmy się nad nią obszerniej. W drugim wydaniu, którego jej z serca życzymy, autor zapewne zechce usunąć ważniejsze usterki, które wykazaliśmy, i uzupełnić braki, na które ośmielamy się zwrócić jego uwagę.

## NA ROZDROŻU.

POWIEŚĆ W DWÓCH TOMACH,

przez

Deotymę.

TOM DRUGI.

(Dalszy ciąg.)

— Nagle usłyszałam wykrzyk rozpaczliwy. Głos Cesi! Wtedy wstąpiła we mnie moc doprawdy jakby nadludzka. Oderwałam rękę Romany i pchnęłam ją z takim wysileniem, że upadła na kolana, a padając, zaplątała się w firanki łóżka. Skoczyłam na równe nogi; teraz ja byłam górą, ja przyklekłam na jej piersiach, ja ją chwyciłam za gardło. Pasowałyśmy się bez miłosierdzia. Moja biedna Cesia swemi rączkami pomagała jak mogła, ale ja się ciągle obracałam do niej, wołając: „Zadzwoni! Na korytarz! Wołaj kogo.“ Nie miałam nadziei, ażeby się na czas doprosiła pomocy, ale chciałam ją usunąć z widowni morderstwa, bo pomimo wszystkiego, czułam że tamta jest mocniejsza odemnie i że lada chwila jak wąż mi się wyslizgnie. Cesia mówiła mi później, że pobiegła do dzwonka, ale nie mogąc go znaleźć, a widząc że krew się ze mnie leje, nie śmiała już trać czasu... Wtedy jej przyszedł pomysł... niewiem jak go nazwać... genialny, czy fatalny? Porwała marmur od stoliczka stojącego przy mojem łóżku, podniosła go z zadziwiającą siłą i kilka razy uderzyła nim owę kobietę. Jeszcze słyszę jak ten marmur bije o tę czaszkę... Razy były tak gwałtowne, że ja mimowolnie cofnęłam ręce. Tamta jękała i runęła na ziemię. Jeszcze rękę nieco podniosła, jakby czegoś szukała, oczy jej w słup stanęły. Skoczyłam ku niej, pchnięta nie pewnością... poruszyłam jej głowę: ta opadła dzwoniąc o podłogę. Nie chciałam uwierzyć, a musiałam. Nie żyła. Moja córka rzuciła się na mnie, wołając: Mamo! Ty żyjesz! Wszak ty żyjesz? Odpowiedziałam: Żyję. Ale wskazałam na tamtę. Spojrzałyśmy po sobie z przerażeniem: nas nie zabito, ale myśmy zabiły.

Głos pani Irenej drgał jak w febrze. Nastąpiło krótkie milczenie. Wiesław chwycił się za skroń, wołając:

— Wielki Boże! Cóż to za przerażający wypadek! Ach biedne panie, co wyście też przeżyły!

— Tak, biedne bez zaprzeczenia. Wystaw sobie pan, co to jest znaleźć się w takim położeniu osobom uczciwym, przyzwyczajonym do łagodnego obejścia, istotom któreby kurczenia nie śmiały zarznąć. Rodzaj wychowania i warunki życia stawiły mnie zawsze między ludźmi, u których zbytnie podniesienie głosu już się rachowało za szczyt gwałtowności, i to bardzo nagannę. O zbrodniach, zabójstwach nie wiedziałam tylko z gazet, albo romansów Gaboriau; zdawało mi się że podobne rzeczy dzieją się w jakimś innym świe-

cie. I trzeba aby takie nieszczęście spadło właśnie na mnie i na moje kochane, niewinne dziecko! Niewinne, bo mogę przysiąc przed Bogiem: ani ja, ani moja córka nie miałyśmy zamiaru odebrać życia tej kobiecie. Chciałyśmy ją tylko odeprzeć, ubezwładnić, zresztą albo ja wiem czegośmy chciały? Broniłyśmy się poprostu. Ale w takiej chwili trudno mierzyć donośność uderzeń. Sam pan powiedz, jak tu było zrobić, kiedy nie zostawało ani chwili do namysłu? Ja przecież musiałam się bronić, a Cesia témbardziej broniła własnej matki.

— Ale pani kochana—zawołał Wiesław—nie potrzebujesz się usprawiedliwiać. Przecież każdy z nas uczyniłby to samo. Jakto? W nocy morderca mię napada, i nie miałbym się bronić na wszelkie sposoby? A jeszcze córka matkę! Przypuszczam że wśród bitwy syn widzi ojca w niebezpieczeństwie; czyż nie skoczy, nie zasłoni ojca własnym ciałem, nie będzie usiłował zgładzić nieprzyjaciela? I spełni to nie tylko bez wyrzutu sumienia, ale jako najprostszy obowiązek. Tu trzeba tylko uwielbiać, że taka młoda panienska miała tyle odwagi i siły. To dowód, jak umiē kochać.

Pani Irena zerwała się ze łzami w oczach i po macierzyńsku uściśnęła głowę młodzieńca, mówiąc ze wzruszeniem:

— Ach, jak pan to wszystko rozumiesz! Gdyby wszyscy chcieli tak rozumieć...

Tu rzuciła nieśmiało i niespokojne spojrzenie ku panu Tytusowi. Ten stał w drugim końcu pokoju, obrócony do okna, tak że nie można było zobaczyć jego twarzy.

Wiesław niecierpliwiał się milezieniem wuja.

— Moja dobra pani—odpowiedział—nie wiem jak można inaczej rozumieć. A przecież to sprawa jasna jak na dłoni. Wyście obie niewinne, a ta Włoszka, to wcielony szatan, to prosta zbrodniarka.

Mówiąc, oglądał się w stronę okna. Nie mógł pojąć, czemu się pan Tytus jak on nie obrurza, czemu jak on nie uspokaja stroskanę pani Ireny.

Gdyby się był jednak postawił w jego położeniu...

Łatwo sobie sąd wyrobić, kiedy się nie jest między sądzonymi.

Łatwo mu było bezwzględnie potępiać kobietę, której nigdy w życiu nie widział.

Ale gdyby Romana była jego kochała? Gdyby ją był sto razy przyciskał do serca, czuł bicie jej piersi na swojej? Gdyby doszła do zbrodni przez miłość dla niego, tylko przez miłość?

O! wtedy, nie wiem na czyich ustach nie omdlałby ostateczny wyrok!

Pan Tytus nagle zwrócił się ku mówiącym; był śmiertelnie błądy.

— Według pierwszych opowiadań, sądziłem że to pani zadała cios śmiertelny. Według dzisiajszych szczegółów rzecz się zmienia: widocznie zadała go córka.

Powiedziawszy to, pan Tytus dodał ciszej:

— O, tak wolę!

Pani Irena nieco się zmieszala.

— Zapewne... Nie mogę zaprzeczyć że tylko córecę winnam ocalenie. Jednak... nie chciałabym, aby na nią miała ciężać cała odpowiedzialność. Może i które z moich uderzeń było nadto silne...

— Trudno to przypuścić—odparł pan Tytus.—Jabym raczej sądził że musiał róg marmuru w samę skroń ją trafić.

— O, to najprawdopodobniejsze—dodał Wiesław.—Bo téż śmierć tak nagle, to wypadek rzadki.

— Cóż pan chcesz? Gdyby kto chciał umyślnie cios podobny zadać, pewnoby mu się nie udało. Ale niechcącemu fatalność pomaga. Cóżesmy nie wyrabiała, żeby ją ocucić! I ja nie mogłam uwierzyć w tę śmierć natychmiastową, tém bardziej że nie było na nią żadnej rany. Tylko twarz zeszinała, zrobiła się fioletowa. Wystaw pan sobie, co się z nami działo! Ja próbowałam ratować tę nieszczęśliwą, Cesia ratowała mnie, bo moja rana, chociaż niegłęboka, była bardzo boląca i na pozór groźna. Godzina upłynęła, nim zdołaliśmy krew zatamować i bandaże naprędcze zczepić. Ce-

sia chciała wołać koniecznie doktora; nie przeczyłam jej w pierwszej chwili, ludzając się resztką nadziei, że jeszcze i w tamtej potrafi rozbudzić życie. Zwróciłam się do dzwonka, nie mogłam znaleźć sznura; myślałam że mi się ćmi w oczach, aż spojrzawszy w górę, ach panie Wiesławie, co za nowe, straszne odkrycie! Niepróżno już i Cesia piérwój znalazła go nie mogła. Sznur był zebrany w wielki węzeł i zsypany prawie pod samym sufitem. Wprawdzie tuż pod nim stała komoda, na którą wszedłszy, wysoka osoba mogła wykonać tę sztukę. Dowodziła ona wielkiego obmyślenia całej sprawy. Albo sama zabójczyni potrafiła piérwój dostać się do mego pokoju (na przykład w ciągu dnia, kiedy byłam na mieście) i związała sznur, aby nam odjąć ostatnią możność ratunku, albo, co jeszcze gorzej, była z innymi w zмовie. Bogata, mogła kupić współników; może kto ze służby hotelowej miał jej pomódz do sprzątnienia ciał naszych? Może jeszcze teraz czatował na korytarzu? Możemy z jednych rąk uszły, aby wpaść w inne, groźniejsze? O! już teraz, choćby było można, za nic w świecie nie byłabym chciała zadzwonić, ani drzwi odchylić. Złęklam się, czy przez pokój mojej strasznej sąsiadki nie wkradną się nowi mordercy. Drzwiczki tego pokoju były otwarte, zamek w nich znalazłam bez klucza i nadwreżony, a tuż za nimi stał duży i ciężki stolik, nieco na ukos odsunięty; widać że przez cały dzień drzwiczki były tylko na klamkę zamknięte, ale zasunięcie stołem dawało im pozorny opór. Weszłam ze drżeniem do tego pokoju, zastałam go pustym; drzwi od korytarza na zewnątrz dobrze były zamknięte, mogłyśmy z tej strony być spokojne. Przy szarém świetle, bo już dniało, spójrzałam z przestachem na sprzęty nieszczęśliwej, rozrzucone po stołach; między niemi, pamiętam, spostrzegłam fotografię pana Tytusa, w jakiejś przepysznej oprawie. Odwołała mię Cesia, która tymczasem znalazła ów sztylet pod łóżkiem.

— Ten sam sztylet—zawołał pan Tytus—który mnie dawała, ażeby ją zabił. Czemużem nie...

Pani Irena nie dała mu skończyć; wzięła z blizkiego stolika piękny florencki sztylecik.

— Oto jest. Zachowałam go na straszną pamiątkę i dowód.

Pan Tytus chwycił rzeźbioną rękojść, a gdy się przyjrzał, płomienie mu na twarz wystąpiły.

— Co to jest? Rdza? Krew?

— Tak, moja krew—odpowiedziała pani Irena ze smętnym uśmiechem—Cesia nigdy nie dała jej zatrzeć.

Położył broń z bolesnym syknięciem, jakby go sparzyła, i wykrzyknął, załamując ręce:

— Co najokropniejsze, to że mię ostrzegęła, a ja lekceważyłem groźbę! Od tylu lat myślałem sobie: jednak nie miała serca tej groźby dotrzymać! Wolęła zabić siebie, niżeli kogo z nas, i rozczulałem się nad jej mniemanem samobójstwem! I te pomniki! I te kwiaty!... Ach... szkaradna komedia losu!... Od czasu tej groźby, jam ciebie, pani, powinien już był nie odstępować ani na godzinę. Al! Żebyś była przystała zaraz na połączenie!

— Cóżby to pomogło? Jako żona pańska, pewno nie uniknęłabym także jej prześladowania. Widziemy obecnie, ze wszystkich szczegółów zestawionych, że to był plan długi i mądre snuty, jak cień chodziła za mną; z miasta do miasta, z mieszkania do mieszkania, byłaby mię póty ścięgała, aż nie dziś to jutro, nie jutro to za rok, znalazłaby miejsce i porę stosowną, bo kto się tak zaważmie, a przytém umiē czekać, ten zawsze swego dopnie. Tem właśnie a nie czém innym jest włoska Vendetta. To jedno téż cięży na jej pamięci. Gdyby się rzuciła na mnie w chwili uniesienia, o, to co innego! Prawa Boskie, a nawet ludzkie uwzględniają szal gniewu. Ale zabójstwo rozmyślane, tak długo przemyślane... Ztém wszystkiēm nie mnie ją sądzić, została aż nadto ukarana, i to przez moje ręce... Taka śmierć gwałtowna starczy pewnie za najdłuższy czyszciec, a podobno téż miłość ze wszystkiego rozgrzesza. Kto wie nawet, czy to nie był obłąd chorobliwy, sku-

tek cierpień serdecznych? Może niezupełnie wiedziała co czyni?

Pan Tytus zatrzymał się przed panią Ireną, ujął brzeg jej koronkowego rękawa i musnąwszy go ustami, szepnął:

— Zawsze szlachetna! Jeszcze ją uniewinnia!

Ten jego ruch, te wyrazy, wzruszyły panią Irenę więcej może niżeli chciała okazać. Spuściła oczy wilgotne, i wszyscy troje zapadli w milczenie, które Wiesław przerwał, mówiąc jakby sam do siebie:

— Trudno sobie doprawdy wyobrazić logiczny pochod myśli i rozwój wrażeń, co mogą człowieka doprowadzić do takiej zbrodni. Widocznie podsłuchiwała całą waszą rozmowę pod owemi drzwiczkami... Cóż się z nią dziać musiało w owej chwili i przez całe następne godziny! Bo przecież kilka godzin upłynęło, zanim się odważyła te drzwiczki otworzyć? Aż strach pomyśleć... Cóż to za otchłań dusza ludzka!... I jakżeż się skończyła ta noc nieszczęśliwa?

Pani Irena, zagadnięta, zebrała napowrót myśli.

— Tak, i ta noc się skończyła, choć mnie się zdawało że chyba nigdy się nie skończy. W obawie czy to nie cały spiszek, postanowiłam czekać aż zupełny dzień będzie, aż wszyscy w hotelu wstaną. Ubrałam się, namówiłam i Cesię żeby to samo zrobiła; biedaczka dotąd trzęsa się w koszulinie i boso. Opowiadała mi później, że mój krzyk ją rozbudził; niepewna, pytała się z drugiego pokoju co się stało, a nie słysząc odpowiedzi, tylko jakieś szamotania się i szepty, skoczyła i ujrzała... co wiecie.

— Cóż się stało z tamtą... ze zwłokami?—zapytał Wiesław.

— Dotąd leżały ciągle przy kotarze. Nie śmiałam ich z miejsca ruszyć. Próbowaliśmy jeszcze, czy może się życia dopukamy? Ale nie. Już zaczynały teżęć. Czuwałam ja nieraz przy chorych i konających, znam się niestety na pochodzie śmierci. Nie było już co robić. Siadłam na owej kanapie. Dogorywała świeca, ta sama którą tamta zapaliła. Mój Boże! Dłużej trwała od niej! Nie śmiałam gasić płomienia, zdawało mi się że razem z nim zadmuchałabym ostatnią iskrę jej życia. Wpatrując się w to straszne, mrugające światło, rozmyślałam co dalej czynić? Czy poradzić się pana Tytusa? Ten krok mię trwożył, bo jednak Romana musiała go jeszcze obchodzić mocno, zwłaszcza zabita... i to przez kogo?... Wyznanie dzisiaj dużo mię kosztuje, a cóż dopiero wtedy? Ale co robić? Wezwać gospodarza hotelu, wezwać władze miejscowe i opowiedzieć im się szczerze? Wtedy przyszła mi po raz piérwszy myśl okropna, okropniejsza niż wszystko: cały ten wypadek odbył się bez świadków. Jakże dowieść żeśmy były napadnięte, a nie napadły piérwsze? Martwe ciało przeciw nam świadczyło. Im więcej rozmyślałam, tém więcej czułam, że tyleż dowodów stoi przeciw nam, jak za nami, wyjąwszy chyba dowody moralne, głos opinii, na które trudno było rachować w mieście zupełnie nam obcém. Co najgorsze, nie a nie nie znałam się na prawach, zwłaszcza kryminalnych. Któż mógł przypuszczać, że ta znajomość będzie mi kiedyś potrzebna? Nie miałam wyobrażenia, jak sądy się zpatrują na podobne sprawy. Mówiłam sobie: z czasem przecież nas uniewinnią; ale piérwój co? Będziemy podejrzywane, badane, może więzione. A toć zgubiona przyszłość panienci, co siedziała na ławie oskarżonych! Że ja wtedy nie zwaryowałam, to prawdziwa łaska Boga, który widać chciał mię zachować dla tego drogiego i nieszczęśliwego dziecka. Przerazona, wróciłam do piérwszej myśli: bądź co bądź, wyznać wszystko panu Tytusowi i nie nie przedsięwziąć bez jego porady. Czekać aż przyjdzie? Zadługo. Umówiliśmy się dopiero na południe, mieliśmy iść dalej oglądać miasto. Posłać po niego? Tak rano, to mogło zwrócić uwagę i później się wykryć... zresztą nikogo nie byłam pewna w hotelu.

(Dalszy ciąg nastąpi).

# Artykuły treści naukowej, z innych piśmiennictw czerpane.

## WILIAM HERSCHEL.

Karta z dziejów astronomii,

przez

A. Blydowskiego.

(Dokończenie).

W teleskopie Herschla okazało się przede wszystkim, że gwiazd takich jest daleko więcej niż przypuszczano. Herschel obserwował je i spisywał ich katalogi. W jednym z nich spisał aż 269 takich gwiazd podwójnych, potrójnych i wielokrotnych, z których o 227 zupełnie przed nim nie wiadomo. Później syn jego, sir John Herschel, poprowadził tę listę daleko dalej, spisał bowiem aż 3,300 podwójnych i potrójnych, a po obserwacjach robionych od r. 1835 do 1837 na przykładu Dobrej nadziei, uzupełnił ich liczbę aż do 6000. Ale już i za czasów Wiliama Herschla liczba gwiazd podwójnych okazała się zbyt wielką, ażeby można było przypuszczać, że ich zbliżenie jest tylko pozorne, powstając ztąd, iż znajdują się na jednej linii względem naszego oka. Herschel przystąpił do rozjaśnienia tej kwestyi i udowodnił, że ich zbliżenie jest rzeczywiste, że są to słońca krążące około słońca. Niedosyć na tym, dowiódł on, że bieg jaki jedno z tych słońc odbywa koło drugiego, nie jest ściśle kołowym, ale eliptycznym, z czego wynika, że prawo atrakcyi obowiązuje niezmiennie jak w naszym systemie słonecznym, tak samo i w sferach gwiazdowych.

Dzisiaj już nikt o tym nie wątpi; dziś, oparci na teorii Laplace'a, wiemy wszyscy, że planety i księżycy naszego systemu słonecznego były niegdyś samoistnie świecącymi słońcami; że słońcem takim była także i nasza ziemia; wiemy nawet że słońce-Neptun, słońce-Uran, słońce-Saturn, słońce-Jowisz wprzód własnem świeciły światłem, nim słońce nasze dzisiejsze zgęstniało tak dalece, że mogło własnem światłem zajaśnieć; wiemy zatem, że i nasz system słoneczny dla obserwatorów gwiazdowych był niegdyś gwiazdą podwójną, potrójną lub wielokrotną. Nie tak łatwo jednak było Herschlowi przekonać o tym współczesnych sobie uczonych. Szczególniej astronomowie francuzcy słuchać nawet o gwiazdach podwójnych nie chcieli, pomimo wielkiego poważania, jakie mieli dla angielskiego astronoma, poważania, którego dowód najlepszy złożyli, nadając odkrytej przez niego planecie jego nazwisko. Niezbitemi dla nich były jeszcze wywody M. Hella, N. Fussa i innych oponentów Chrystyana Mayera, że planety w odległości gwiazdowej nie mogłyby być widzialne, a możebności słońc, około innych słońc odbywających obiegi, nie przypuszczali. Voiron, podnosząc wysoko zasługi Herschla, o gwiazdach podwójnych nie wspomina ani słowa, a sławny Lalande jeszcze w r. 1804, wspominając o nich, dodaje „*Nous ne croyons pas à de telles choses.*“ Sprawdza się tu po raz tysięczny w dziejach odkryć ten prawie w pewnik i prawidło zamieniony fakt, że o wszelkich nowych prawdach najtrudniej jest przekonać ludzi najuczestniejszych i że z ich strony właśnie pochodzą najtrwalsze przeszkody, z jakimi walczyć muszą odkrywcy i wynalazcy.

Jednocześnie z obserwacjami gwiazd podwójnych i wielokrotnych, Herschel badał tak zwaną drogę mlęczną. Któż nie zna tego olbrzymiego pierścienia, opasującego firmament? Skierowawszy teleskop na ten pas błyszczący, Herschel dostrzegł w bliskości głowy Oriona, że mgławice to światło składa się z ogromnej liczby gwiazd. Usiłując je policzyć, znalazł w jednej tylko części drogi mlęcznej, w przestrzeni mającej zaledwie 15 stopni długości a 2 stopnie szerokości, 50,000 gwiazd tak wyraźnych, że można je było policzyć, i prawie

drugie tyle słabo widzialnych. Jest to ilość najmniej pięćdziesiąt razy większa od ogólnej liczby gwiazd, jaką człowiek gołym okiem dostrzedz jest w stanie. Gdyby całe niebo było tak gęsto gwiazdami zasiane, teleskopem Herschla możnaby ich było dostrzedz 68½ miliona. Trzeba jednak rozważyć, że są części drogi mlęcznej, które się okazały jeszcze w gwiazdy obfitsze. Niekiedy Herschel widział w swoim teleskopie po 588 gwiazd jednocześnie, i zostawiając teleskop nieruchomym, gdy w skutek obrotu ziemi zmieniał się ciągle punkt nieba, na który to narzędzie było skierowane, mógł ich naliczyć 116,000 w ciągu kwadransa. Zdaje się prawie niemożliwem, żeby człowiek mógł policzyć tak wielkie ilości w tak krótkim czasie, ale znając dokładnie stosunek przestrzeni nieba, widzialnej w teleskopie, do całego widokregu, dość jest policzyć gwiazdy znajdujące się w teleskopie jednocześnie, a rachunek prawdopodobieństwa wskaże nam z wielkiem przybliżeniem, ile ich przesunąć się mogło w danym czasie. Inną razą w przeciągu 41 minut Herschel naliczył 258,000 gwiazd. Przeciętnie z tych prób biorąc, obrachowano, że gdyby całe niebo było tak zasiane gwiazdami jak droga mlęczna, możnaby ich było widzieć za pośrednictwem takiego teleskopu aż 195 milionów.

Pragnąc zmierzyć głębokość tego pokładu gwiazd, który się drogą mlęczną zakreśla na niebie, Herschel obliczył przypuszczalnie siłę swego 20-stopowego teleskopu, którym największe poczynił odkrycia. Z obliczeń tych wypadło, że gdyby gwiazda jaka była 497 razy bardziej oddaloną od ziemi niż Syriusz, byłaby jeszcze w tym teleskopie widzialną. Przyjmując odległość Syriusza na 3600 miliardów mil geograficznych (obecnie wiemy, że ta odległość jest daleko większa), najdalsza gwiazda w teleskopie Herschla wyraźnie widzialna zdajdowałaby się w odległości blisko 1,800,000 miliardów mil od naszej ziemi i od słońca. Cyfry te mówią niewiele, bo sobie takich odległości wyobrazić nawet nie możemy, ale wskazują one dokładnie, dlaczego odległości gwiazd tak trudne są do wymierzenia. Gdybyśmy wiedzieli dokładnie, że jakaś gwiazda jest o 1,800,000 miliardów mil geograficznych oddaloną od słońca i że słońce w danej chwili bliższem jest tej gwiazdy niż ziemia o całą swoją odległość od ziemi, to w takim razie ziemia byłaby od tej gwiazdy odległą także o 1,800,000 miliardów mil geograficznych i jeszcze o pięćdziesiątą część jednego miliarda. Przy takiej cyfrze jak 1,800,000 ułamek wyrażający zaledwie 50-tą część jednostki, czyli dziewięćdziesięcio-milionową część całej cyfry, znika zupełnie, dwie takie cyfry, jedna z tym ułamkiem, druga bez niego, przedstawiają się praktycznie jako najzupełniej też same, a odległość ziemi od słońca, jedyny łokieć, którym odległości gwiazd mierzyć możemy, staje się prawie niczem, w porównaniu z ogromem, jaki za jej pomocą wymierzyć wypada.

Światło, przebiegające na sekundę 42,000 mil, potrzebowałoby około 1600 lat, aby dojsz do nas od tak oddalonej gwiazdy.

Odległości te przestraszają wyobraźnię, przekonamy się jednak wkrótce, że są one jeszcze drobnymi, w porównaniu z innymi, zbadanymi podobnie przez Wiliama Herschla.

Badania drogi mlęcznej wskazały Herschlowi, że droga ta jest zbiorowiskiem słońc, do którego i nasze słońce należy. Szło teraz o wskazanie, jaki jest kształt tego zbiorowiska i jakie miejsce zajmuje w niem nasze słońce. Tutaj Herschel oprzeć się musiał na przypuszczeniu. Powiedział sobie, że gdyby owo zbiorowisko słońc miało na przykład kształt kuli, a słońce było umieszczone w jej środku, w takim razie, ponieważ wszystkie gwiazdy mniej więcej równie gęsto w całym ob-

szarze tej kuli prawdopodobnie są rozsiane, w którąkolwiek stronę zwrócilibyśmy teleskop, widzielibyśmy w nim mniej więcej jednakową liczbę gwiazd. Ze spostrzeżeń jego okazywało się przecieź najwyraźniej, że tak nie jest. Przyczyną rozmaitego że się tak wyrazimy „ugwiażdzenia“ różnych stron nieba może być zatem tylko inny kształt ogólny przestrzeni, w której gwiazdy są rozsiane, oraz to, że nasz punkt obserwacyjny: ziemia i słońce (gdyż w obserwacjach tego rodzaju, z powodu niesłychanych odległości, wszystko to jedno czy patrzymy z ziemi, czy też patrzylibyśmy ze słońca) nie znajduje się w punkcie środkowym przestrzeni zajętego przez gwiazdy, stanowiące drogę mlęczną. Opiérając się na tém, Herschel obliczał gwiazdy w najróżniejszych stronach nieba i z obliczeń tych doszedł, że wszystkie które widziemy gołym okiem i które przez teleskopy dojrzyć możemy, zajmują przestrzeń mającą kształt olbrzymiej soczewy, ku środkowi której, znacznie jednak bliżej jednej wypukłej powierzchni niż drugiej, znajduje się nasze słońce.

Zachodziło teraz pytanie, czy słońce nasze jest nieruchome, czy też ma ruch własny. I tutaj poradził sobie Herschel rozumowaniem równie prostem, jak genialnym. „Kiedy człowiek jest w lesie i postępuje naprzód, drzewa ku którym się zbliża zdają się rozstępować, a te od których się oddala zdają się zbliżać; jeżeli więc jest na niebie miejsce, w którym gwiazdy zdają się oddalać od siebie w przebiegu wieków, to widać że słońce zbliża się ku tym gwiazdom.“

Ażeby jednak odkryć to na niebie, nie wystarczyły już same obserwacje, bo jeżeli słońce zbliża się do jakich gwiazd, to z powodu ogromnej odległości zbliżanie się jest stosunkowo tak powolnem, że na dostrzeżenie go potrzeba wieków. Trzeba było porównać dzisiejszy stan nieba z jego opisami podanymi przez starożytnych, ze wskazówkami bardzo niedokładnymi i niezupełnemi, zbadać o ile różnica pomiędzy dawniejszem położeniem gwiazd najświetniejszych a położeniem opisanem w starożytności pochodzi z tej niedokładności, o ile zaś przypuścić można rzeczywistą zmianę punktu zajmowanego na niebie przez gwiazdę; trzeba było wreszcie rozważyć, o ile ta rzeczywista zmiana pozycyi gwiazdy może być skutkiem jej ruchu własnego, a o ile jest tylko zmianą optyczną, wynikającą z ruchu słońca.

Kilka lat najtroskliwszych poszukiwań poświęcił Herschel badaniu tego przedmiotu i jako rezultat swoich badań ogłosił, że słońce ma rzeczywiste ruch własny i że posuwa się ku pewnemu punktowi, znajdującemu się w konstelacji Herkulesa.

Jeżeli które ze śmiałych a genialnych twierdzeń Herschla mogło być przyjęte z niedowierzaniem, to to z pewnością. Uczeni wzruszali ramionami na tę zuchwałą lecz świetną hipotezę, która za życia wielkiego astronoma wcale nie znalazła uznania. Dopiero po śmierci Herschla Argelander z Bonn podniósł tę teorię, poddał troskliwemu badaniu przeszło 500 gwiazd i oświadczył, że punkt do którego zbliża się słońce położony był w r. 1840 pomiędzy gwiazdami *mi* i *pi* w konstelacji Herkulesa, z biegiem czasu przecieź zmieniać się może, a nawet musi, gdyż niepodobna przypuścić, aby słońce odbywało bieg w kierunku linii prostej. Dyrektor obserwatorium w Półkowie, p. Otto Struve, sprawdził i uznał za dokładne obliczenia Argelandera i hipoteza Herschla znalazła uznanie. Później jeszcze p. Peters wykazał, że słońce razem ze swoim systemem zbliża się do gwiazdy *pi* (1) w konstelacji Her-

(1) Astronomowie gwiazdy pojedyncze w konstelacjach oznaczają literami greckiego abecadła.

kulesa, z szybkością 30 milionów mil geograficznych na rok. Profesor Mitchell zapewnia, że te obliczenia zrobione zostały z taką śmiałością, iż możnaby się założyć o 400,000 przeciw jednemu za ich prawdziwością. Dodaje on że światło gwiazdy *pi* w Herkulesie, która jest gwiazdą trzeciej wielkości, potrzebuje 46 lat, ażeby do nas doszło, z czego wynika, że gdyby słońce, ze wskazaną powyżej szybkością, zbliżało się do niej ciągle, toby na dojście do niej potrzebowało 17,000 wieków!

Nie kończą się jeszcze na tém zasługi, jakie Herschel położył dla astronomii, bo nie jeszcze nie mówiliśmy o mgławiskach. Badanie mgławisk wykazało, że cały ten wszechświat gwiazdowy, do którego my należymy, całe to olbrzymie zbiorowisko gwiazd, które się w jedną drogę mlęczną zlewa, jest tylko kropelką we wszechoceanie światów. Choćbyśmy przyjęli, iż całe to zbiorowisko jest kulą tak wielką, że aby ją przebiec od bieguna do bieguna, światło potrzebuje 4,000 lat czasu, jeszcze ta cała zbiorowość nie byłaby niczem więcej, jak jednym mgławiskiem, jedną z takich plamek na niebie, których Herschel zbadał, spisał, zmierzył, obliczył, rozklasyfikował i po największej części odkrył aż dwa tysiące.

Powiedzmy jednak co to są mgławiska. Kto ma wzrok dobry, może nawet bez pomocy szkieł dostrzedz w kilku miejscach nieba błądzący cień, odbijający niewyraźnie od ciemnego tła niebios, albo też gwiazdy, które różnią się od innych tém, że nie przedstawiają jednego świetnego i wyraźnego punktu, lecz jakies światło jakby mgłą przyćmione. W teleskopie miejsca te przedstawiają się wyraźniej i jest ich daleko więcej. Są one najrozmaitszych wielkości i najrozmaitszych kształtów, zajmują przestrzeń czasem kilku stopni, niekiedy kilku sekund tylko, bywają czasem najdokładniej okrągłe lub eliptyczne (owalne), czasem dziwnie nieregularnych kształtów. W jednych z nich, częstokroć w samym środku, znajdują się większe lub mniejsze gwiazdy, w innych najdzielniejszy teleskop żadnej gwiazdy wykryć nie zdoła, pomimo że niektóre dają się rozkładać, tak jak droga mlęczna, na zbiorowiska gwiazd, których czasem do 10,000 w jednym takim mgławisku rozpoznać i naliczyć można, a nierównie więcej jeszcze niewyraźnych się znajduje. Bardzo rzadko się zdarza, chociaż zdarza się, że w takim zbiorowisku gwiazd różnych blaskiem, jedna znacznie przewyższa inne siłą światła i pozwala przypuszczać, że jest dla nich gwiazdą centralną, środkiem systemu. Zato zazwyczaj środek takiego mgławiska gęściej i obficie zasiany jest jasnymi gwiazdami, niż części zewnętrzne. W niektórych okolicach nieba dostrzegamy mgławisk więcej, w innych mniej, w niektórych zaś niema ich wcale. W tej części nieba gdzie się zbiegają konstelacje Tarczy Sobieskiego, Strzelca i Niedźwiadka, tudzież w konstelacjach Panny, Andromedy i Oriona najwięcej jest mgławisk i tam bywają one największe i najjaśniejsze.

Katalog bardzo dokładny 133 takich mgławisk ogłosił Karol Messier w Paryżu (ur. w 1730, † w 1817), odkrywca dwunastu komet. Herschel poddał je obserwacyom i niektóre z nich w jego teleskopie dały się rozłożyć na gwiazdy, inne zaś oparły się najpotężniejszym powiększeniom i pozostały mgławiskami aż do końca. Ztąd podzielił je na dające się rozłożyć i na niedające, i rozklasyfikował je ogółem na osiem rozmaitych rodzajów, a szukając innych takich chmur gwiazdowych, odkrył ich sam około 2000. Siostra jego Karolina dopomagała mu bardzo czynnie w tej pracy i ona spisywała katalog, a następnie syn astronom, sir John Herschel, w r. 1833 przedstawił Towarzystwu królewskiemu katalog 2500 mgławisk, odkrytych przez siebie i przez ojca. Liczba znanych obecnie wynosi przeszło 3000.

Czém są te chmury gwiazdowe? Sama rozmaitość ich budowy wskazuje, że niewszystkie są jednej natury. Jedne z nich mogą się znajdować w obrębie naszej drogi mlęcznej i są systemami gwiazdowymi, kształtującymi się dopiero, które z biegiem wieków zamieniają się w jedną gwiazdę z satelitami, jak nasz system słoneczny, i podobne do niego przechodzić będą koleje. Inne są

bez najmniejszej wątpliwości po za obrębem naszej drogi mlęcznej, naszego świata gwiazdowego, i same przez się stanowią także drogi mlęczne, także światy gwiazdowe, niezmiernie od nas oddalone. O ile można przypuszczalnie obliczyć ich długość, będzie ona 6 do 8000 razy większa od odległości Syriusza, liczy się na miliardy miliardów mil i przedstawia niekiedy drogę, na której przebieżenie światło potrzebuje do trzydziestu milionów lat. Humboldt wyraża się o nich, że to są *die ältesten Zeugnisse vom Dasein der Materie*, najdawniejsze świadectwa bytu materii, gdyż aby światło ich aż do nas dojść mogło, musiały już przed tyłoma milionami lat istnieć.

Dla dokładności tego szkicu dodać winniśmy, że niewszystkie prace Herschla zostały uwiecznione powodzeniem, niewszystkie jego hipotezy znalazły uznanie, choć tego co zostało przyjętem jest dosyć, aby dziesięciu ludzi wsławić i uniesmiertelnić. I rzecz dziwna, ten astronom, który z takim powodzeniem robił odkrycia w najodleglejszych zakresach nieba, najmniej był szczęśliwy w badaniu najbliższego ciała niebieskiego, księżycy, którego światło w pięć ćwierci sekundy do nas dobiega. Błędem jest wszakże rozpowszechnione mniemanie, jakoby Herschel stworzył hipotezę wybuchających wulkanów na księżycu, mówił on tylko o miejscach jaśniejszych, widzialnych przy świetle ziemi. Nie zdaje się także, żeby hipoteza Herschla o ciemnym jądrze słońca i dwójstę jego fotosferze utrzymała się długo w nauce, lubo jej jeszcze dotąd wielu astronomów hołduje. Domysł Herschla, że plany słońca pomnażają a nie pomniejszają jego ciepło, nie zdaje się także sprawdzać ostatecznie, chociaż również ma zwolenników.

Teorią mgławisk ogłosił Herschel w r. 1811, mając lat 73, i w tymże roku obserwował komety, oraz wymierzył średnicę jej jądra. Żył następnie jeszcze lat jedenastu i prawie do samego końca dni swoich, to jest do 84 roku życia, prac naukowych nie zaniechał. Król Jerzy III ciągnął otaczał go opieką, uniwersytet w Oksfordzie dał mu dyplom doktorski, królewskie Towarzystwo naukowe wybrało go swym prezesem, a książę regent, później król Jerzy IV, mianował go kawalerem orderu hanowerskiego Gwelfów. Największą jednak zapewne pociechą dla niego było to, że syn jego o dziedziczył po nim zamiłowanie do jego ukochanej nauki i wszedł na tę samą drogę, na której również potem zdobył sobie znakomite imię. Umarł Herschel 23 sierpnia 1822 r. Siostra jego Karolina, wsławiona współdziałaniem w pracach brata, (samodzielnym odkryciem dziewięciu komet i ułożeniem katalogu gwiazd, przeniosła się po jego śmierci do Hanoweru i zmarła w r. 1848, mając lat 98.

## Ludwika królowa pruska.

(Dalszy ciąg).

Jakkolwiek najprzykrejszy kielich goryczy, przekroczenie granicy utraconego kraju, ominął Ludwikę, jednakże to co ją oczekiwało w Tylży, w głównej kwaterze zwycięzcy, wystawiało na ciężką próbę jej ambicyą i gotowość ofiarą.

Wiadomo jak Napoleonowi udało się, po zawarciu zawieszenia broni z cesarzem Aleksandrem, odciągnąć Rosyją od Prus i doprowadzić do skutku zawarcie z nią traktatu pokoju, który oddawał w ręce zwycięzcy losy rozbitej monarchii pruskiej. Władca Francji, jedynie ze względu na swego nowego sprzymierzeńca, pozwolił na utrzymanie resztek państwa pruskiego. Cesarz Aleksander, uznając wpływ jaki podniosła osobistość Ludwiki wywierająca na wszystkich, radził by ona osobiście próbowała wyjednać łagodniejsze warunki. Ale czyż można było oczekiwać po zwyciężkim cesarzu, że zechce ugiąć czoła przed podniosłością i moralną potęgą królowej zwyciężonego państwa?

Ludwika nie zwlekała jednak ze spełnieniem

włożonego na nią obowiązku, choć podejmowała go ze ściśnioném sercem. Powracający z Tylży król opowiadał z bolesném rozdrażnieniem, z jaką obojętnością przyjęty został przez Napoleona. To więc czego nie dokonał król nieszczęśliwy, dokonać miała jego małżonka. Łatwo pojąć iż list królewski, wyprawiający Ludwikę do Tylży, nie mało też musiał wywołać. „Nie zapomnę nigdy tej chwili, pisze Hufeland, nadworny lekarz, w której królowa otrzymała od męża zlecenie wyjazdu do Tylży, dla wytargowania u Napoleona jak można najkorzystniejszych warunków pokoju. Nie spodziewając się tego, odchodziła niemal od przytomności. Zalana łzami, powtarzała: Jest to najboleśniejsza ofiara, jaką przynoszę memu ludowi; nadzieja jedynie, iż będę dla niego pożyteczną, dodaje mi sił do jej spełnienia.“ „Ile mnie to kosztuje, pisze królowa w swoim dzienniku, Bóg jeden wie tylko. Choć bowiem nie czuję nawiści ku temu człowiekowi, widzę w nim jednak sprawcę nieszczęść króla i całego kraju. Podziwiam jego geniusz, ale nie mogę lubić charakteru. Ciężko mi będzie być grzeczną i uprzejmą, choć nawykłam już przecie do poświęcania się dla innych.“

W dniu 4 lipca królowa wyjechała do jednej ze wsi w pobliżu Tylży, dokąd przybyli nazajutrz sam król i cesarz Aleksander. Minister Hardenberg, usunięty na żądanie Napoleona, objaśnił Ludwikę o całym położeniu rzeczy. Generał Caulaincourt przysłany został na powitanie królowej w imieniu cesarza.

Pod eskortą oddziału dragonów gwardyi przybyła Ludwika zrana 6 lipca do Tylży i stanęła w mieszkaniu króla. W kwadrans później przybył Napoleon, przyjęty na dole przez panią Voss, mistrzynią dworu i hrabinę Tannentzien. „Był on, opowiada pierwsza, uprzejmy bardzo i rozmawiał długo z królową.“ Około ósmej udała się Ludwika ze swemi damami na obiad do cesarza, który był w wybornym humorze i wiele z nią rozmawiał, tak przy stole, jak i po obiedzie. Między innymi zapytał z pewnym lekceważeniem: „Jakże mogły Prussy wojnę ze mną zaczynać?...“ „Najjaśniejszy panie, odrzekła Ludwika, sława Fryderyka Wielkiego upoważniała nas do łudzenia się co do naszych sił, jeżeli rzeczywistość było to złudzeniem.“ Inteligentna, zręczna i pełna delikatnego taktu królowa umiała, co jej sam Napoleon przyznał, pozostać panią rozmowy i wywarła tak silny wpływ na surowego tryumfatora, że nie odmówił zrazu żadnej prośbie i przedstawieniu Ludwiki.

Nazajutrz jednak, gdy w otoczeniu królewskim żywiono nieomylną nadzieję pomyslnego obrotu sprawy, hrabia Goltz, powróciwszy z audyencyi u cesarza, oznajmił, iż ten nietylko odwołał wszystko ku czemu się poprzedniego dnia przychyłał, ale nawet zwiększył jeszcze surowość swych wymagań dotychczasowych. Oświadczył przytém, że wszystko co królowej powiedział było tylko zwykłą grzecznością, do niczego nie obowiązującą; że jest stanowczo zdecydowany naznaczyć Elbę jako granicę posiadłości króla, że dalsze układy są zbytecznymi, gdyż on już wszystko zdecydował z cesarzem Aleksandrem, i że tego ostatniego wstawiennictwu jedynie zawdzięcza król pruski, iż nie został usunięty z całą dynastją od tronu, który miał objąć Hieronim brat jego (Napoleona). Talleyrand podobno był sprawcą tego zwrotu, bo odezwać się miał do cesarza, iż dzieje przyganiają mu to kiedyś, że nie wyzyskał należycie jednej ze swych najpiękniejszych kampanij, przez wzgląd na wdzięki kobięce.

W takim położeniu rzeczy zaproszenie na obiad cesarski wystawiało Ludwikę na ciężką próbę. „Napoleon, opowiada mistrzyni dworu, wyglądał zakłopotanym i rozdrażnionym; rozmowa przy stole była wogóle naprężona i urywana. Gdy nazajutrz generał Duroc przybył do królowej z pożegnaniem od cesarza, rzekła z naciskiem, że ciężko została zawiedziona. W ostatniej rozmowie usiłowała Ludwika wymódnąć na cesarzu przyrzeczenie, że zostawi królowi przynajmniej Magdeburg na lewym brzegu Odry; Napoleon jednak, jak się sam wyraził w liście do Józefiny,

pozostał „jak sukno woskowane, po którym się wszystko ześlizguje.“ W rok później, przypominając sobie rozmowę z Napoleonem, pisze Ludwika: „Jakież to wspomnienie! Com ja ucierpiała, więcej za drugich, niż za siebie! Plakałam, prosiłam w imię ludzkości, w imię naszego niebezpieczeństwa i władającej światem sprawiedliwości—byłam wtedy tylko kobietą, słabą istotą, wyższą jednak sercem nad mego przeciwnika.“ Powiadają że przy rozstaniu Napoleon ofiarował Ludwice świeżą różę, którą przyjąwszy po zwyciężeniu mimowolnego wstępu: „co najmniej wraz z Magdeburgiem“ dodała; na co cesarz odrzekł: muszę zwrócić uwagę, że to ja daję różę, a wasza królewska mość ją przyjmuje.“ Rzecz niewątpliwa jednak, że nieszczęśliwa królowa żywo i śmiało uskarżała się na uczyniony jój tak bolesny zawód.

Jeszcze smutniejszy obrót w dwa dni później wzięła rozmowa między znękanym ale pomnym swój godności królem i dumnym zwycięzcą, który wypowiedział Fryderykowi Wilhelmowi wiele „najdotkliwszych i najobrazliwszych rzeczy“. I bez tych atoli osobistych ukłuc pokój tylżycki był dość upokarzającym i gorzkim dla króla. Zabięrając jedną połowę państwa, zostawiano mu drugą, „jako znak poważania“ ze strony Napoleona dla cesarza Aleksandra. Fatalna konwencja, zawarta z karygodną bezmyślnością przez Kalkreutha (12 lipca), dla określenia warunków ustąpienia wojsk francuzkich z pruskiego terytorium, czyniła je zależnym od wypłat, które zwycięzca mógł i zamierzał zwiększać bez miary. Tym sposobem rozpadnięta, bezbronna i wyczerpana monarchia zostawała w zupełności w rękę Napoleona; od woli jego zależało położenie końca jój istnieniu.

Upadły na duchu król przemyślał o abdykacyi. „Serce ścisnęło mi się—powiada pani Voss, gdy zaczął wynurzać swe skargi. Jedną królowa tylko, choć cierpiała wiele i płakała całymi dniami, nie upadała na duchu, lecz dbając o przyszłość kraju i swych dzieci, dodawała królowi otuchy i energii, niezbędnej do pełnienia obowiązków monarszych wśród okoliczności tak trudnych.“

Urządzenie domu królewskiego zostało ograniczone do najkonieczniejszych rzeczy; służba i ekwipaże zredukowane do *minimum*; złotą zastawę stołową, dawny rodzinny zabytek, przetopiono na pieniądze, dla uzupełnienia kontrybucyi wojennej. Na ten cel Ludwika oddała także swe brylanty, zatrzymując jeden tylko garnitur perłowy, który przekładała nad dyamenty.

W życiu i ubiorze usunęła Ludwika wszelką wystawność i zbytek; królewski stół bywał teraz tak skromnie zastawiany, że każda zamożniejsza rodzina mieszczańska lepiej jadła. To pełne zaparcia się i szlachetnej rezygnacyi życie otaczało królową dziwnie podniosłym blaskiem. „Oddałbym tysiąc dworskich uroczystości—powiada pewien obcy dyplomata, który spędził wtedy wieczór w gronie rodziny królewskiej—za to niezapomniane nigdy widowisko. Królowa siedziała przy ubogim stole, ogołoconym, tak jak i ona, ze wszelkich ozdób; tém świetniej jednak jaśniały jój wdzięki, piękność i godność. Najstarsza z księżniczek (Karolina) zajmowała się wraz z matką drobnymi domowymi czynnościami.“

Poprzednio unikała królowa mieszanja się do spraw publicznych i wywierania jakiegokolwiek wpływu nazewnątrz, nie chcąc w czémkolwiek okazać różnicy ze zdaniem lub wolą monarchy. Dopiero spadła na państwo nieszczęścia otworzyły jój oczy na wiele rzeczy; kochając kraj i swych synów, nie mogła pozostać obojętną i bezczynną. Ostateczna katastrofa i przygnębienie w jakimś zostawał król, utorowały Ludwice drogę do wpływu na sprawy państwowe. Za jój to przyczynieniem się, Fryderyk Wilhelm, po zawarciu fatalnego pokoju, zdecydował się powierzyć dzieło odbudowania upadłego państwa znakomitemu mężowi, baronowi Karolowi von Stein. Pochodząc ze starszszlacheckiej rodziny, wychowany w starodawniej domowej karności i religijności, Stein wszedł za młodu do służby publicznej. Rozpocząwszy swój zawód jako radzca górniczy w Westfalii, doszedł stopniowo, dzięki swym wybitnym

zdolnościom i dzielności charakteru, do stanowiska prezesa kamery westfalskiej, a zarazem naczelnika zarządu cywilnego tej prowincyi. Mianowany wkrótce pruskim ministrem handlu, nie mógł na tém stanowisku, przy ówczesnej organizacji rządu, wywierać wpływu na sprawy polityczne, lecz ograniczył się na licznych i znaczących ulepszeniach w zakresie swój władzy. Patrząc jak nieprzeornie i niedoleżnie prowadzone były sprawy państwowe, przewidywał zawczasu nieochybną katastrofę i dlatego w przedstawionym królowej memoryale wykazywał konieczność usunięcia tajnej rady i Haugwitza. Usiłowania te nie sprowadziły jednak żadnego rezultatu, prócz nagany ze strony króla. Wkrótce nastąpiła katastrofa którą Stein przewidywał, a której nie mógł odwrócić. Gdy po bitwie pod Jeną ministrowie i generałowie potracili głowy, Stein jeden, pamiętny o dobru publicznym, uwiózł kasę swego departamentu do Królewca, dostarczając tym sposobem królowi środków do podtrzymania wojennego honoru Prus w kampanii 1807 r. Gdy wreszcie Fryderyk Wilhelm zdecydował się usunąć szkodliwego Haugwitza od steru spraw, ofiarował Steinowi stanowisko ministra spraw zagranicznych. Ten jednakże przedstawił na to miejsce Hardenberga, a sam objął właściwsze dla swych zdolności ministeryum skarbu i to pod warunkiem, że król rozwiąże tajny gabinet, wywierający tak zgubny wpływ na sprawy publiczne. Żądanie to sprowadziło w styczniu 1807 r. gorące starcie, skutkiem którego Stein otrzymał uwolnienie. Nikt tyle nie ubolewał nad utratą wielkiego męża stanu co królowa, jak o tém świadczy jój list do baronowej von Berg.

Bolesnie dotknięty, Stein usunął się do swego dziedzicznego zamku w Nassauskiem. Nieszczęścia kraju więcej go bolały, niż doznane przesładowanie. Po zawarciu pokoju tylżyckiego, król przywołał go napowrót w najzaszczytniejszy sposób, jako jedynego męża, który mógł przynieść pomoc krajowi. Jakkolwiek złożony chorobą, nie odmówił swych usług, owszem, wyruszył bezzwłocznie w daleką podróż, pełen nadziei iż będzie mógł upadłe państwo odbudować na nowych podstawach, naród cały natchnąć nowym duchem i wszystkie jego siły powołać na ratunek ginącej ojczyzny.

Królowa z gorączkową niecierpliwością wyglądała przybycia zacnego męża. „Stein to moja ostatnia nadzieja, powtarzała. Przy wielkim swém sercu i wszechstronnym umyśle, znajdzie on zapewne środki ukryte przed naszym okiem.“ „Odkąd go widzę przy sterze interesów, pisała później, zdaje mi się iż mogę wyżej wznosić głowę.“

I słusznie Ludwika widziała w Steinie wybawiciela w nieszczęściu. Dzień, w którym on objął ster interesów państwowych, można uważać za początek odrodzenia się Prus i wyratowania z toni całych Niemiec. Wprawdzie radykalne i wszechstronne reformy, któremi się upamiętniły rządy Steina, zaczęwszy od wyswobodzenia włościan i organizacyi miast, aż do początków reprezentacyi stanowej, już poprzednio w części były przygotowane; jednakże katastrofa jenajska i pokój tylżycki dały potężny impuls do przeprowadzenia tego, co w innych okolicznościach albo bardzo powolnie, albo też wcale nie zostałoby dokonaniem. Zresztą chodziło tu nietylko o polityczną organizacyę narodu, lecz i o gruntowne przekształcenie siły zbrojnej, dokonane, jak wiadomo, według głębokiego planu Scharnhorsta, przy żywym współdziałaniu Steina.

Cóż jednak miała wspólnego królowa Ludwika z tém, co tworzyli Stein, Scharnhorst i ich współpracownicy? Oto na nią spada główna zasługa utorowania tym mężom drogi do dworu, usuwania przeszkód, trudności i przesądów, jakich bez jój pomocy nie zdołaliby pokonać. „Zaklinam pana, pisała do Steina, w początkach sprawowania przezeń urzędu, miej cierpliwość w pierwszych przynajmniej miesiącach. Król dotrzyma z pewnością słowa; Beyme (najwięcej wpływowego członka tajnej rady gabinetowej) zostanie usunięty, ale dopiero za przybyciem do Berlina. Tymczasem przeto ustąp pan. Na Boga, nie dozwól

upaść dobremu dziełu, dla braku cierpliwości! Zaklinam cię w imię króla, ojczyzny, moich dzieci we własnym wreszcie imieniu... cierpliwości!“

Królowa bardzo też często znosiła się osobiście z mężami kierującymi nawą państwową, jak Stein, Scharnhorst, Gneisenau i inni. Najściślej—jednak stosunki utrzymywała z księżną Maryanną, żoną księcia Wilhelma (brata królewskiego), pełną ukształcenia i patryotyzmu kobietą, a w kółku ich, stanowiącym niejako ognisko patryotycznego i reformatorskiego stronnictwa, zajmowano się żywo roztrząsaniem spraw publicznych i powierzono królowej trudne a drażliwe posłannictwo jednania małżonka, zostającego pod wpływem potężnej partyi konserwatywnych tchórzów i samolubów, dla dążeń postępowych. To pośredniczące występowanie królowej, tém było potrzebniejszem, że Stein, który już wtedy swą postawą zapowiadał więcej urodzonego do rozkazywania władzę, niż uległego sługę i był, prócz Blüchera, jedynym mężem, nieznanym, jak powiada Scharnhorst, bojaźni ludzi—lekceważył zupełnie dworskie zwyczaje i w swój żarliwości częstokroć obrażał osoby z któremi miał do czynienia. Jakkolwiek nieobeznana z prawodawstwem i administracyą, podzielała gorąco Ludwika idee ożywiające wielkiego męża stanu i najzupełniej popierała cel ostateczny, jaki sobie założył przy objęciu urzędu. Celem tym było podniesienie religijnych, moralnych i patryotycznych uczuć narodu, rozbudzenie w nim odwagi, ufności w siebie, a wreszcie rozpoczęcie, przy pierwszej przyjaznej sposobności, krwawej, stanowczej walki oswobodzenia.

Tymczasem jednak zewsząd gromadziły się najdolegliwsze troski. Na mocy wspomnianej już konwencyi z 12 lipca, Francuzi uczynili zupełne usunięcie swych wojsk zależnym od wypłacenia lub zabezpieczenia wypłaty kontrybucyi wojennej, której wysokość miano później oznaczyć. Generał Daru w Berlinie otrzymał polecenie domagania się jak można najwyższej summy, aż wreszcie w październiku ustanowiono wysokość kontrybucyi na 154 milionów franków, na gwarancją której 40,000 wojska francuzkiego miało na koszcie Prus zajmować pięć najważniejszych fortec. Wobec tak wygórowanych wymagań, sam Stein, jak się wyraziła królowa, po raz pierwszy struchlał (1). „Straszliwym jest nasze położenie, pisze Ludwika, wszystko teraz runęło. Mnie opuszczają już siły. Przyszłość przed nami najczarniejsza! Gdybyśmy przynajmniej Berlin utrzymali! Strwożone serce moje ścisnęło się na myśl, że i on nam zostanie wyrwany i zrobiony stolicą innego królestwa. Jedno już mam tylko pragnienie—wyjechać daleko i w cichym prywatnym życiu zapomnieć, jeżeli to jest możliwym. Boże mój! co się z Prusami stało! Opuszczeni przez słabość, prześladowani przez przemoc, osłabieni przez nieszczęście—musimy zginąć.“ Jedyną nadzieję ratunku pokładała królowa w Steinie. „Chwała Bogu, Stein jest tutaj! Widać że Opatrzność jeszcze nas całkiem nie opuściła.“ Gdy w kilka tygodni później (w październiku 1807 r.) nadeszły znów przygnębiające wiadomości o postawie pełnomocnika francuzkiego, jedyną pociechą Ludwiki było wywnętrzenie swych cierpień przed współczującym doradcą i zasięgnięcie jego zdania. „O Boże! pisze w liście wzywającym Steina, do czegożśmy doszli! Nasz wyrok śmierci wyrzeczono!“ Postanowiono próbować, czy za pośrednictwem Rosyji nie uda się wyrzucić wpływu na Napoleona. Królowa napisała do niego list. Księżę Wilhelm, brat króla, pojechał do Paryża, z instrukcyą przez Steina zredagowaną, Napoleon jednak przeciągał układy aż do lata 1808 r., a tymczasem zamiast czterdziestu tysięcy, przeszło dwakroć sto tysięcy Francuzów przebywało w obrębie Prus i na ich koszcie.

(Dokończenie nastąpi.)

(1) Dziwna logika sprawiedliwości dziejowej postawiła w 60 lat później Prusy w tej samej roli nieubłaganego zwycięzcy względem Francji, a Bismarck umiał wtedy być równie wymagającym, jak Napoleon I.

(Przyp. tłum.)